

Wołyń

relacje świadków historii

wybór świadectw z kwartalnika „Karta”



Wołyń

relacje świadków historii

wybór świadectw z kwartalnika „Karta”

Karczowani – „Karta” 8 (1992)

wybór i opracowanie Katarzyna Madoń-Mitzner,
Zbigniew Gluza

Huta Stepańska – „Karta” 8 (1992)

wybór i opracowanie Grzegorz Sołtysiak

Polski policjant na Wołyniu – „Karta” 24 (1998)

opracowanie Grzegorz Motyka, Marek Wierzbicki

Lato 1943 - „Karta” – 43 (2004)

wybór i opracowanie Barbara Odonus

zdjęcie na okładce:

Lata 30., Bolesławice k. Równego, woj. wołyńskie, Polska.
Osadnik wojskowy z rodziną na tle swojego gospodarstwa
wiejskiego. Fot. Jerzy Konrad Maciejewski, zbiory Ośrodka
KARTA.

Wołyń dla Ukrainy

„Rzezie na Wołyniu” – unikanie tego tematu wytykano nam w wielu listach i rozmowach. „Dlaczego ten niezależny miesięcznik o tym milczy?” – pytał nas jeden z czytelników, domniemuując, że to świadomy wybór. Niepokoił niektórych fakt, że problemy stosunków polsko-ukraińskich zapisujemy wychodząc od spraw marginalnych, a pomijamy to, co Polaków boli najbardziej: jak w roku 1942, 1943, 1944 Ukraińcy przyszli do ich domów...

Trafiły do nas liczne relacje, w których bestialstwo ówczesnych zbrodni zapisywano dosadnie, w szczegółach. Nieodłącznie pojawiała się pretensja, że choć w Polsce odkrywa się już niemal wszystkie ponure karty historii, to jednak nie tę – że historycy czy politycy w imię bieżących racji politycznych pomijają tę przeszłość, pomniejszają jej wymowę.

W tej sprawie nie ma chyba w środowiskach opiniotwórczych jakiegś zmywu milczenia. To raczej efekt bezradności. Trudno mierzyć się z ogromem ówczesnych zbrodni, pojąć ich genezę, mechanizm. Instynktownie szuka się wyjaśnień zastępczych: może to wielka przesada, może propagandowa gra. Byle nie epatować grozą wydarzeń, byle zdobyć się na taki dystans do nich, który bronilby przed możliwym odruchem nienawiści...

Archiwum Wschodnie gromadziło wszystkie sphywające świadectwa. To że teraz sięgnęliśmy do nich, a także do innych archiwaliów, nie oznacza, że „już wiemy”. Wiemy raczej, że taki moment sam z siebie nie nastąpi, że tej wiedzy musimy wspólnie szukać. Trzeba najpierw z wielu stron opisać wydarzenia, by kiedyś możliwy był komentarz – ich wyjaśnienie.

Przedstawiamy tamtą przeszłość z dwóch „polskich” punktów widzenia: dzieci przypadkiem uratowanych z masakry i obrońców Huty Stepańskiej – jednego z największych ośrodków samoobrony na Wołyniu. Wiemy, że są też inne, często zupełnie odmienne punkty widzenia: „ukraińskie”, „żydowskie”, „niemieckie”, „rosyjskie”... Może gdy wypowie się jedna strona, odezwą się i pozostałe.

Rzecz nie w tym, by po tylu latach wydać wyrok na winnych – dzisiaj nie będzie już procesów. Chcemy poznać, próbujemy – zrozumieć. Pojąć, co człowiek może zrobić innemu i dlaczego. Przedstawiciel jakiegokolwiek nacji przedstawicielowi jakiegokolwiek nacji.

Każdy naród może kiedyś uznać, że należy mu się wyłączone prawo do jakiegoś terytorium. Może zechcieć zapewnienia sobie tego prawa... Tak wówczas pomyślano o Wołyniu.

Redakcja

Karczowani

*„Fortecy” naszej strzegą środki dozwolone,
ku którym oko ufnie raz po raz spoziera:
szczytce do węgla – mocno w zamek drzwi wsadzone
i beznadziejnie tępa domowa siekiera.*

*Wiem, czas dzisiejszej nocy znów będzie się dłużył,
że wieczność można przeżyć w jednej małej chwili,
ja na tę łaskę u „nich” jeszcze nie zasłużył,
by strzałem z pistoletu bez męczarni zabili.*

*Wolno, wolniutko wstaje rano upragniony,
powieki ciężkie pieką i płaczą się myśli,
po niebie lekko szarym przemknęły gawrony,
chowam moją siekiere – dziś jeszcze nie przyszli.*

Zdzisław Wilczek

(z listu do Archiwum Wschodniego
opisującego przeżycia z Wołynia)

Teresa Orzechowska:

Jako jedenastoletnia dziewczynka błąkałam się samotnie po obcych, opustoszałych mieszkaniach, chatach, szopach, a w tym czasie rodziny polskie tam żyjące uciekały do miast przed śmiercią szalejącą w postaci noża, sickiery, kosy.

Pamiętam jak zimą, instynktownie, dla ratowania życia, z szopy, która była moją kryjówką, uciekałam na pola, a były to przestrzenie bezkresne, równinne, więc bezbronne. Tam usnęłam na gołej ziemi, przykryta jedynie padającym śniegiem. W ciemnościach nocy obudziły mnie ludzkie krzyki przeplatane jękiem, wyciem i szczeraniem psów, rykiem bydła, rżeniem koni, trzaskiem palących się zabudowań wiejskich. Łuny pożarów oslepiły mnie. Nade mną niebo rozwierało mieniące się od ognia i dymu kolory. Ta sceneria, te dźwięki doprowadzały do omdlenia. Zamiast więc oddalać się od miejsca śmierci, pod ciśnieniem strachu biegłam przed siebie i wpadałam na jedno z podwórek płonącej wsi, gdzie byłam naoczny świadkiem rąbania żywych drgających ludzkich ciał, rozdzierania rękami dzieci na części.

Ledwo zdążyłam wskoczyć w stóg słomy przed gonącym mnie z kosą osobnikiem, gdy poczułam klucie ostrzem w różnych miejscach mego ciała – pod nosem, w nogę i palec u ręki; do dnia dzisiejszego pozostały mi blizny. Z braku powietrza, dusząc się od dymu (nie wiem, jak długo w tej zimnej jamie pod słomą na przemian płakałam, spałam, a może mdlałam), wyszłam na powierzchnię. Było mi już wszystko jedno, co się ze mną dalej stanie. Zaczęłam iść przed siebie, wydawało mi się, że w ciemności. Wówczas usłyszałam głosy jakby przywołujące mnie, otworzyłam oczy i zobaczyłam na drodze wojskowy wóz wypełniony żołnierzami. Dwie postacie

zeskoczyły z wozu i zbliżały się w moim kierunku. Szłam na ich spotkanie pogodzona ze śmiercią. Okazało się, że byli to Węgrzy, którzy zbierali niedobitki polskie, by pod swoją eskortą odwiedzić nas do Stanisławowa.

Warszawa, 1990

(ze wspomnień nadesłanych
do Archiwum Wschodniego)

Władysław Kobylański:

Już w środę, skoro świt, duży oddział bulbowców zaczął w Marianówce palić po kolei gospodarstwa Polaków. Spaliśmy w ukryciu, w różnych miejscach poza domem. Mówiono, że jeśli utrzyma się tę zasadę, zawsze ktoś z rodziny ma szansę przeżycia. Ja spałem z moim kolegą Aleksandrem Mąckiem w stogu słomy Ukraińca Hordowskiego, bez jego wiedzy.

Strzały i pożar wyrwały nas ze snu, zaczęliśmy uciekać w pole w kierunku cmentarza ewangelickiego. Stał tam posterunek bulbowski, który dopuścił nas na odległość około pięćdziesięciu metrów. Posypały się w naszym kierunku strzały. Nagły zwrot, szybki bieg pod wpływem strachu i słabi strzelcy oraz pola zarośnięte już dość wysokim zbożem – dzięki temu dziś jeszcze żyjemy. Rozbiegliśmy się z Aleksandrem w różnych kierunkach. Ja ukryłem się w zbożu w odległości około kilometra od naszego domu. Obserwowałem stamtąd, co wyprawiają bulbowcy w poszczególnych gospodarstwach.

Pamiętam, jak do mnie strzelali. Chciałem krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Brak było jakiegokolwiek nadziei. Co z sobą dalej robić? Gdzie iść i po co? Ten obezwładniający stan ducha można określić tylko jednym słowem: rozpacz. Człowiek dotknięty jest jakąś martwością i poczuciem bezsensu istnienia. Wszystko to czuł dwunastoletni chłopiec.

Nie tyle widok pożarów kolejnych gospodarstw, co wycie psów, ryczenie krów, rżenie koni, kwik świń podsycaly jeszcze moją rozpacz. Bulbowcy nie tylko w okrutny sposób mordowali ludzi, ale również nie wszystkim zwierzętom na uwięzi dawali szanse ucieczki z płomieni.

Leżałem jak sparaliżowany; patrzyłem i słuchałem, co się dzieje w kolonii i nie miałem tyle siły woli, by wstać i uciekać jak najdalej od tego nieszczęścia. Nie byłem w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji.

Wrocław, 1989

(ze wspomnień
W szponach trzech wrogów)

Mieczysław Gawel:

Siarkowski był już ranny w rękę. Jak go bandyta dogonił, to on posłusznie położył się na ziemi i czekał, aż bandyta zszedł z konia i przyłożył mu karabin do głowy. Zastrzelił go i ściągnął mu buty. Dlaczego się nie bronił, nie wiem. A miał szansę. Bandyta był na płochliwym koniu i miał karabin z oberżniętą lufą, który z pewnością nie strzelał celnie.

Po zabiciu Siarkowskiego bandyta wsiadł na konia i zaczął się rozglądać za następną ofiarą. My w trójkę byliśmy w tym czasie do połowy zakopani w słomie i obserwowaliśmy jego zbrodniczy wyczyn. Gdy zwrócił się w naszą stronę, zauważył nas, bo matka miała białą chustkę na głowie. Przyjechał prosto do nas, ale my w międzyczasie pochowaliśmy się w słomie na dobre. Czulem, że kopyta końskie zatrzymały się tuż przy mojej głowie. Nie ruszałem się, aby się nie zdradzić. Bandyta nie czuł się widocznie pewnie, bo nie zszedł z chrapiącego konia, lecz odjechał.

Przed „wizytą” kolejnego bandyty wrócił ojciec. Na wezwanie matki, aby się chował, machnął tylko ręką, że woli tu zginąć syty niż w mieście umierać z głodu. I poszedł do mieszkania.

W chwilach względnego spokoju wychylaliśmy głowy ze słomy i obserwowaliśmy okolicę. Widzieliśmy sześciu bandytów przebiegających między zabudowaniami; ten na koniu był siódmy. Przypuszczam, że ich zadaniem nie było wymordowanie nas, lecz wygnanie, bo rozpoczęli mordować tylko z jednego końca i tylko w siedmiu, a przecież w pobliskich Pożarkach mieli duży odwód.

Następnie widziałem ich koło zabudowań Hanckiego — jak strzelali do wracającego do domu Morki, który miał na starość słaby wzrok i nie mógł widzieć, kto do niego strzela. Przystanął tylko i szedł dalej w ich kierunku. Po którymś z kolei strzale upadł. Dalej zbliżali się do zabudowań Moska, który kilka tygodni temu wraz z rodziną wyjechał do rodziców żony za Łuck. Następnym ich celem byliśmy my.

Jak przyszli, to zastali ojca na podwórku. Zaczęli go wypytywać, po ukraińsku oczywiście, gdzie ma rodzinę — odpowiedział, że wszyscy pouciekali. Wówczas zaczęli przeszukiwać całe gospodarstwo. Matka była na samym brzegu słomy rozrzuconej pod stogiem, więc jeden z nich kopnięciem nogi odstąpił ją i kazał jej wstawać. W tym czasie usłyszałem szcęk zamka karabinowego, wprowadzającego nabój do lufy. Mama wstając odkryła Siarkowską, bo były razem schowane. Ja byłem schowany oddzielnie i trochę dalej. Siarkowska także zaczęła wstawać, lecz mama widocznie zauważyła, że bandyta zajęty jest karabinem, popchnęła Siarkowską i przykryła ją słomą, jakby chciała powiedzieć: ratuję ci życie, zaopiekuj się moim dzieckiem. Sama poszła na śmierć. Kazali im się położyć i oddali do nich siedem strzałów.

Wkrótce po ich odejściu pojawili się ukraińscy sąsiedzi od Witoszków i ich kuzyni Ihnatiuki — i zaczęli grabić nasze mienie. Obie Sańki, żony Neczypora i Dymitra widocznie nie zbliżały się do moich rodziców, bo jedna z nich zapytała, jak oni wyglądają. Neczypor odpowiedział: „*Czerepy keti porozlitahyś*” — czaszki całkiem się porozlatywały.

Gdańsk, 1976

(ze wspomnień nadesłanych
do Archiwum Wschodniego)

Regina Owczarczak:

Którejś nocy zjawił się na futorze nasz ksiądz w cywilnym ubraniu. Był wystraszony, bo uprzedzono go, że chce go zamordować ukraińska banda. Usiłował namówić mego ojca do ucieczki do centralnej Polski, lecz ojciec bał się, że umrzemy tam z głodu; chciał zebrać choć trochę zboża. My z siostrami prosiłyśmy o pozwolenie na ucieczkę, lecz zdecydował tu głos najstarszego brata Wacława (znającego świat), który sprzeciwił się, twierdząc, iż nie damy sobie rady.

W niedzielę, 1 sierpnia 1943, dzień był parny i nawet słońce było zamglone. Chodziliśmy po futorze przynębieni, unikając się nawzajem. Wieczorem jak zwykle przyszedł do nas sąsiad, Ukraińiec Aleksander Fedosiuk. Mój brat Wacław rozmawiał z nim, iż czasy są niespokojne, lecz my nikomu krzywdy nie zrobiliśmy, więc gdyby nam groziło niebezpieczeństwo, niech — przez wieloletnią przyjaźń — Aleksander nas uprzedzi, to wyjedziemy do Polski centralnej. On to potwierdził, a o drugiej w nocy przyszedł wraz z uzbrojonym oddziałem bandytów UPA.

Część mojej rodziny – ojciec, matka, siostry i najmłodszy brat – spaliśmy od wielu dni w stodole i w szopie na sianie. W nocy z 1 na 2 sierpnia obudziło nas światło latarek i rozkaz w języku rosyjskim, by udać się do mieszkania w celu przeprowadzenia rewizji, bo podobno u nas jest broń.

Idąc pod eskortą uzbrojonych bandytów ścieżką wśród krzaków malin, widziałam, że wszystkie okna w domu zostały obstawione. W mieszkaniu obudzili mego brata Waclawa i kazali nam zebrać się w jednym pokoju, by nie przeszkadzać im w rewizji. Było nas dwanaście osób – dziesięć z mojej rodziny i stryj Bernard z żoną.

Bandyci cały czas mówili po rosyjsku, podszywając się pod partyzantów radzieckich i dopiero kiedy powiedzieli: „*Blіže k ścienkie*” i „*Wy chotitie samostijnej Ukrainy*” – zdaliśmy sobie sprawę, kto to jest i że to koniec.

Zobaczyłam pobladłą twarz mamy i nawet nie zdążyliśmy odpowiedzieć, gdy z przedpokoju padły trzy serie strzałów z karabinu maszynowego. Zestrzelono światło lampy naftowej, stojącej przed nami na stole – pokój pogrążył się w ciemnościach i straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, modliłam się. Leżałam na podłodze pod czymś ciężkim ciałem, które, może w ostatnich konwulsjach, wciągało mnie pod siebie. Słyszałam jego charczący oddech, jęki konających i kilkakrotny krzyk mojego czternastoletniego brata Rysia: „*Ja tak nie chcę*”. Nie bolało mnie nic, a kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam na tle światła w pokoju stryja (za przedpokojem), że nikogo już nie ma. Bandyci rzucili się w tym czasie do rabunku w budynkach gospodarczych.

W pokoju było pełno krwi. Chyba instynktem wiedzioną, wstałam i prześliznęłam się przez boczne drzwi do kuchni. Tam, nie zastanawiając się, wyskoczyłam przez okno wychodzące na ścieżkę do budynków gospodarczych i wpadłam w krzaki malin, tuż obok tej ścieżki. Stopy miałam bosc i mokre od krwi, a na oczy spływała mi krew z rany głowy. Komary czując krew bzykały nade mną. Byłam jak zaszczute zwierzę. Leżałam odrętwiała ze strachu, gdy nagle usłyszałam biegnących i klnących po ukraińsku bandytów, a równocześnie strzał nad moją głową. W jednej sekundzie pomyślałam, że mnie odkryli i skuliłam się czekając na cios, ale oni zobaczyli moją siostrę Jadwigę uciekającą w stronę krzaków róż i jaśminów. Zabili ją, a później podpalili.

Potem wrócili do pokoju trupów, zapalili lampę. Zabili płaczące w kołysce ośmiodniowe dziecko Waclawa. Zdjęli też buty z nóg mojej matce, leżącej na tapczanie pod ciałem Waclawa; myśleli, że ona nie żyje. Dali jeszcze dwie serie strzałów po trupach i kończąc rabunek odzieży, pościeli i innych rzeczy w domu oraz maszyn i inwentarza żywego w budynkach gospodarczych – podpalili je i odjechali.

Rana na głowie zaschła i tylko coraz bardziej bolała mnie prawa noga, gdyż miałam trzy kule w udzie, które, jak się później okazało, nie naruszyły kości. Kiedy nadszedł dzień, zdecydowałam się wyjść i szukać pomocy. Myślałam, że zostałam sama i nie wiedziałam, co robić. Idąc koło domu widziałam przez wybite okno ciało zabitego brata Waclawa z ranami na skroni, roztrzaskaną główkę jego ośmiodniowego dziecka w kołysce... nikt nie odezwał się na moje wołanie. Widziałam też dopalające się zwłoki mojej siostry Jadwigi, leżące koło jaśminów.

Kuśtykałam okrwawiona jak upiór w stronę budynków sąsiada Ukraińca, gdy nagle spoza drzew z podwórza sąsiada usłyszałam krzyki i głos mojej bratowej Marii: „*Mamusiu, Gina żyje*” (tak mnie nazywano).

Nie da się opisać rozpaczy matki po stracie dzieci i tak dobrego męża. Wyglądała jak nieprzytomna czy obłąkana. Nikt z nas nie płakał, bo z bólu lzy chyba wyschły!

Ukraińscy sąsiedzi z Aleksandrem Fedosiukiem stali ze spuszczoneymi głowami, a naprzeciw nich, w białiznic: chora (po połogu) bratowa Maria z wyłknięm półtorarocznym synkiem na rękę, moja mama oraz leżąca na ziemi, ranna w nogę żona stryja Bernarda.

Wyszły one z pokoju trupów, już po odjeździe bandytów, kiedy mama zawołała: „*Wstawajcie, kto żywy*”. Odezwiał się wówczas żyjący jeszcze stryj Bernard i prosił: „*Ciągnijcie mnie, ja nie chcę się spalić*”. Kobiety z trudem wyciągnęły go przed dom; był w stanie agonii – głowa stukiała po schodach. Zaraz też umarł. Miał wiele ran na piersiach i odstrzeloną za kostką prawą rękę. To on w nocy zagarniał mnie ręką pod siebie, a kula, która mnie rańca w głowę, urwała mu rękę.

W czasie masakry półtoraroczny synek Waława, przygnieciony na tapczanie ciałem swego zabitego ojca i leżącej babci, zaczął płakać, ale kiedy ta szepnęła mu: „*Nie płacz, babcia przy tobie*” – do końca już się nie odezwiał, a na wezwanie babci wstał, jak duszek, blady i przestraszony. Przez wiele tygodni dziecko to nie odezwiało się i nie zapłakało. Milczało jak nieme i tylko nie pozwalało nam od siebie odejść.

Zielona Góra, 1990

(ze wspomnień nadesłanych do Archiwum Wschodniego)

Danuta Konieczna:

Miałam już prawie dziesięć lat, kiedy banderowcy napadli na polską wioskę Korościatyn. Tego dnia było jeszcze wcześniej i ludzie nie zdążyli się ukryć.

Banda działała w trzech grupach. Pierwsza szła i mordowała. Drugi kradli, co się dało. Ostatnia grupa to przeważnie wyrostki 12-14-letnie – zwalniai z łańcuchów bydło i podpalali domostwa. Słyszałam, jak w domu mówiono, że bandą tą dowodził młody ksiądz wyznania greckokatolickiego z naszych Monasterzysk, nazwiska jego nie pamiętam. Ludzie się bronili, ale zginęło wtedy 160 Polaków. Pamiętam, jak stałam z moimi rodzicami i innymi sąsiadami przed domem i patrzyliśmy na lunę.

Rano ludzie saniami zaprzężonymi w konie podążali do Korościatyna. Ja też tam byłam. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To, co tam zobaczyłam, było makabryczne. W zdewastowanych, spalonych domach, na podwórkach, w ogrodach, na stacji kolejowej – wszędzie leżeli zamordowani ludzie. Tego nie można opisać. Tego nie mogę zapomnieć. Widziałam ludzi pozabijanych sickierami i nożami. Mieli odrąbane ręce, nogi, rozłupane głowy, obcięte uszy i powyrywane języki, wydłubane oczy, rozprute brzuchy i rozwleczone jelita. Kobiety miały obcięte piersi. Nie oszczędzali nawet niemowląt. Widziałam małe dziecko z roztrzaskaną o ścianę głową.

Pamiętam, jak stara kobieta stała nad zmasakrowanym ciałem swojej córki, mówiła do niej, żeby wstała i włożyła płaszcz, który jej przyniosła, bo jest zimno i pora iść do domu.

Wrocław, 1992

(z listu do „Karty”)

Janina Stopyra-Gawrońska:

Tatuś, oprócz prezentów, z każdej wyprawy do Lwowa przywoził hiobowe wieści. „*Ukraińcy mordują!*” – mówił. Był wtedy zaszępiiony. Gnębiło go poczucie beczności, z którym nie umiał sobie poradzić. Mama zwykle reagowała płaczem; była

placzką, katastrofistką, w niczym mu nie mogła pomóc ani niczego rozsądnego doradzić. Była rozdrażniona, ciosy następowały jeden za drugim. Z Sybiru żadnych wieści o ojcu i macosze, choć mijały już trzy lata, jak ich wywieziono. Tymczasem groziła nam każdego dnia nowa tragedia – wyróżnienie nas w pień przez ukraińskich szowinistów. Było o tym głośno, coraz głośniej. Złe wieści niosły się lotem błyskawicy. Po lasach, drogach grasowały uzbrojone w sickiery, widły, kosy i noże bandy złoczyńców. Tatuś przestał jeździć do Lwowa, bo przyjeżdżał coraz bardziej ponury, niepodobny do siebie, sparalizowany strachem. Cokolwiek w nocy stuknęło – spadające jabłko czy gałązka – stawiało tatę na równe nogi. Nie spał, nasłuchiwał, chodził, czekał rana, by się upewnić, że nikt obcy nie robi nocą zbójceckich podchodów.

Naszym najbliższym sąsiadem był Ukrainiec – nazywał się Trusz. Był dobrym człowiekiem. Z jego strony nie groziło nam niebezpieczeństwo.

Dom nasz kończył zabudowania polskie, od niego zaczynały się gospodarstwa ukraińskie. Wiedzieliśmy, że jesteśmy pierwsi z brzegu, jeżeli zacznie się rzecz w Łopusznie. Wiedzieliśmy także, że musimy się stąd wynosić jak wszyscy Polacy (choć moja mama była po ojcu Ukrainką). Nie było to takie proste. Z dnia na dzień zlikwidować całe swoje gospodarstwo, przychówek i ot tak sobie odejść – dokąd i gdzie? Czas naglił, gorączka narastała. Popłoch i strach niweczył zdrowy rozsądek. Cała nasza bliższa i dalsza rodzina ze strony ojca naradzała się dniami i nocami – co robić? Zdecydowano, że przede wszystkim musimy dostać się do Lwowa. Zaczęły się przygotowania.

Bracia, siostry i szwagrowie wydumali sobie, że pożyczą mojemu tatusiowi konia i furmankę, żeby pojechał do Milatycz do młyna ze zbożem, trochę sprzedać, resztę zamienić na mąkę – wszyscy potrzebowali chleba na drogę. Czekala nas ponieważ, każdy miał dzieci, trzeba było zapewnić choć to minimum. Tatuś był jedynym, który się odważył. Uwierzył całej rodzinie, że z każdym się dogada, po ukraińsku mówił bardzo dobrze, lubiano go w okolicy. Na ostrzeżenia zaprzyjaźnionych Ukraińców stwierdzał: ja prosty człowiek, do polityki się nie mieszam – co mogą mi zrobić, za co mieliby mnie mordować. I z tą wiarą i optymizmem pojechał.

Tymczasem u nas chleb w piecu, bielizna uprana wisi na sznurkach. My z bratem wykapani, tobołki popakowane. Płacz, pochłipywanie, żeganie się ze wszystkim, bo to ostatnie dni i godziny w naszym rodzinnym domu. Towarzyszyło nam ogromne napięcie i strach przed nieznanym.

Nadchodził wieczór, a taty nie było – miał być po południu. Wyglądaliśmy z okien, wybiegaliśmy na drogę jemu naprzeciw. Było dla nas oczywiste, że zaraz nadjedzie, przywita nas i przytuli, wskoczmy na furmankę. Będziemy z nim jechać, da nam potrzymać bacik, coś tam wyciągnie z przepaścistych kieszeni i powie: zamknijcie oczy, wyciągnijcie ręce...

Gdy zapadł wieczór, a jego wciąż nie było, stało się pewne, że go zabrali. W mamie wzbierała burza. Przestała zwracać na nas uwagę, chodziła tam i z powrotem. Krzyczała: „*Kłękajcie i módlcie się, żeby wrócił, bo zabije i was, i siebie, i się skończy*”. Posłusznie kłękamy ja i mój brat, tuż przy łóżku, zadzieramy głowy do małego obrazka i ze łzami w oczach prosimy:

*Do Ciebie Panie rączki podnoszę,
O zdrowie naszego Taty proszę,
I proszę bardzo, broń go od złego,
Na każdym kroku, niech go Aniołki strzegą.*

Adaś powtarzał tylko końcówki, gdyż nie miał jeszcze trzech lat, a poza tym chętniej mówił po ukraińsku. Ja miałam sześć lat, rozumiałam już, że jestem Polką i starałam się mówić po polsku.

Mama się miotala, leciało jej wszystko z rąk, przeganiała nas z kąta w kąt. Nie wiem, czy w ogóle nas dostrzegala. Momentami miałam takie wrażenie, że nas nie chce, bo nie jesteśmy w stanie jej pomóc ani ukoić. Wreszcie dała ujście swojej rozpaczycy – zaczęła krzyczeć, jakby postradała rozum, płakała, waliła pięściami w łóżko, na którym klęczała. Z rozpuszczonymi włosami, wyglądała jak widmo. W końcu padła na łóżko wołając: „*Pietruś, Pietruś, przyjeźdź*”. Za moment zupełnie skamieniała. Dobięłam do mamy, tarmoszę ją, proszę: „*Wstawaj, wstań, tato na pewno zaraz przyjedzie*”. Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i zerwała się z łóżka – wiedziała swoje. Odgrażała się nie tylko Ukraińcom, ale i całemu światu. „*Już ja im pokażę*” – krzyczała. Dopadła szuflad, w których już nic nie było. Powyrzucała wszystko z worków, gorączkowo szukała jakichś papierów – aktów ślubu, *kennkarty*. Łudziła się, że zatrzymano go tylko na skutek braku tych „dobrych papierów”.

Nadciągała ciemna noc, nasze modlitwy były bezskuteczne. Zawsze wiedzieliśmy, że Bozia wysłucha i pomoże; teraz była głucha, nieskora do utulenia naszego żalu. Widocznie limit łask się wyczerpał – przecież tylu było potrzebujących. Wreszcie mama położyła nas razem do łóżka, a sama pobiegła do rodziny taty – mieszkali około półtora kilometra od nas – głównie do jego brata, żeby jego żona Julia poszła z nią na poszukiwania, bo skoro to był ich koń i fura, więc powinna iść to odzyskać. Nieszczęsna wyraziła zgodę, że skoro świt pójdą razem. Mama nie spała całą noc, zapewne biegała do wszystkich szukać ratunku. Było jeszcze ciemno, gdy wyruszyły do Tokszczowa, bo dochodziły sygnały, że to tam mordują. Pod pachą ścisnęły „dobre papiery” i były pewne, że nie wrócą z pustymi rękami.

Obudziłam się rano, w mieszkaniu pusto, sznury w mieszkaniu, jak wisiały, tak wiszą, z suchą już bielizną, tobołki stoją, chleb siedzi w piecu nie wyjęty od wczoraj, na stole przy oknie stoi bańka z mlekiem i placki z resztek ciasta chlebowego.

Wiedziłam, że mama poszła szukać taty i że wrócą razem. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Matkowałam mojemu bratu, tuląc go i tłumacząc, że mama zaraz przyjdzie. Poprzedniego dnia mówiła: „*Jańciu, pamiętaj – nie wychodź z domu, nikomu nie otwieraj, pilnuj domu. Pies i kot muszą być na dworze*”. Dzień powoli mijał, placki urywane po kawałku zmniejszały się, mleko pite z bańki kończyło się. Zmrok zapadał, a oni nie wracali. Siedzieliśmy na stole przy oknie, jakby na nim było bezpiecznie. Szemrząca nie opodał rzeczka, szumiące drzewa, wiatr, który wiał i zawodził w opustoszałych izbach – wszystko to niosło ze sobą wczorajszy strach i grozę, lecz dzisiaj uderzało jakby ze zdwojoną siłą, uświadamiało tragiczną prawdę, wyrok, że oto zostaliśmy sami. Zrozumiałam wczorajszą rozpacz matki.

Kiedy zrobiło się prawie ciemno, wpadłam w panikę. Z trudem zapaliłam lampę naftową, potłukłam szkło, knot kopcił czarną smugą. Wpatrywałam się z uporem w powoli kończącą się naftę w lampie. Co będzie, gdy zgaśnie? Gorączkowo szukałam świecy, znalazłam jakiś mały ogarek. Przytknęłam go do gasnącej lampy, zapaliło się. Ale światło nie było takie zbawcze, bo rzuciło na ściany złowrogie cienie, potęgujące mój strach.

Byłam zdana wyłącznie na siebie. Robiłam heroiczne wysiłki, żeby nie krzyczeć i nie obudzić małego Adasia. Płakałam cicho – lzy toczyły się po policzkach, ginęły w ustach. Nie przynosiły ulgi i nie zmniejszały mojego strachu. Świeczka dogasała.

Nie widząc żadnego wyjścia, zaczęłam ryczeć w głos, czym obudziłam braciszka. Nie pozostało mu nic, jak tylko histerycznie krzyżeć razem ze mną, wołając na przemian to mamę, to tatę. W chwilach umordowania płaczem tłumaczyłam mu, że rano pójdziemy ich poszukać, bo teraz jest ciemno. Pocieszenia moje nie na wiele się zdały; nie mogłam uciszyć ani jego, ani siebie samej.

Nasz krzyk okazał się zbawczy o tyle, że sąsiad Ukrainiec go usłyszał. Zbliżył się do naszego domu, przyłożył dłonie do szyby zaglądnąwszy w czeluść prawie ciemnej izby. Zobaczyłam twarz nie rozpoznając jej i pomyślałam: teraz nasza kolej, przyszli nas zamordować. Zeskoczyłam ze stołu, ściągnęłam Adasia i weszliśmy pod stół, dygocząc jak w febrze.

Po chwili słysząc pukanie do drzwi i wołanie: „*Jańciu! Jańciu! Nie bój się, otwórz, to ja, wasz sąsiad Trusz, otwórz drzwi i wpuść mnie*”. Powtórzył to parę razy. Wygramoliłam się spod stołu, podeszłam do drzwi i pytam: „*Ale to naprawdę wy, sąsiedzie?*”. Usłyszałam: „*Ja, ja, nie bój się*” – rozpoznałam jego głos. Z trudem odsunęłam ciężki rygiel i wpuściłam go. Opowiedziałam z płaczem, co wiedziałam.

Zamknął chałupę, przeszliśmy po omacku przez podwórce nasze i jego – wziął nas do swojego mieszkania. Jego żona dała nam coś do jedzenia i położyła spać w nogach łóżka, gdzie spały ich dzieci. Zasnęliśmy. Rano dali nam jeść razem z nimi. Co trochę biegaliśmy do naszego domu, by się upewnić, czy oni nie wrócili, ale tylko wtedy, jak sąsiad wchodził do stodoły i mówił: „*No, to możecie trochę wyjść*”. Całymi dniami siedzieliśmy tam ukryci. Nieprawdopodobne, że komuś jeszcze zależało na tym, żeby i nas dorznąć – ale taka była prawda.



Po 48 latach jadę do Łopuszny. Serce łomocze mi jak oszalałe. Na miejscu dowiaduję się, że wszystkie domy, gdzie mieszkali Polacy – ta część nazywała się Kolonią – zostały spalone i dziś nie ma po nich śladu. Nasz dom stał najdłużej, bo moja babka wróciła tu z Sybiru w 1946 roku. Dopiero gdy zmarła w 1956, spalono dom, pewnie zwyczajowo.

Sąsiadki Ukrainki opowiadają, że do dziś słyszą jeszcze nasz płacz i rozpacz matki, gdy było już wiadomo, że mój ojciec został zamordowany przez bandy ukraińskie w lesie w Tołszczowie. Błagały, prosiły, ostrzegały: „*Mila, nie chodź tam! Piotra już nie ma! Są tacy, co widzieli jego śmierć! Masz dwoje drobnych dzieci. One zginą bez ciebie!*”. Krzychała opętańczo: „*Nie ma jego – niepotrzebne mi dzieci – nie chcę żyć – po co mi żyć*”. Pędziła na oślep, na skrót, byle prędzej, usuwając z drogi ludzi, którzy chcieli ją powstrzymać przed niechybną śmiercią. Jej stan psychiczny, agresja skierowana przeciw bandytom, spowodowała i na nią straszliwy koniec. Dziś już wiadomo, jak zginęła. Przywiązano ją do drzewa, najpierw wydłubano jej oczy, potem odcięto piersi i kłuto widłami jej ciało aż do skonań.

Drugiego dnia pojechaliśmy jeszcze raz do Łopuszny. Musiałam przecież dotrzeć do miejsca, gdzie stał mój dom, gdzie pozostali Rodzice. Po wyboistych polnych drogach docieramy do miejsca, gdzie urodziłam się ja i mój brat. Nikt z rodziny nie sugerował mi, gdzie to jest. Trafiałam bezbłędnie. Koszącego trawę człowieka zapytałam wprost: „*Czy żyła tu kiedyś rodzina Piotra i Emilii Stopyrów, którzy zostali zamordowani w roku 1943?*”. Odpowiedział bez wahania: „*Tak, dokładnie tu, gdzie stoimy*”. Wskazał mi trzy stare drzewa, które pozostały z tamtych lat. Po naszym domu jest puste miejsce, na którym klękam ze szlochem. Przez tyle długich lat było

to miejsce upragnione, widziane w snach, kojarzące się z ciepłem, miłością i bezpieczeństwem, póki żyli rodzice.

Jedziemy dalej, tam, gdzie tuż przy szosie stały niegdyś budynki bandyckiej leśniczówki. Teraz jest tu puste miejsce, zarasta je wysoka trawa, w której bieli się mnóstwo margerytek. Pozostały drzewa owocowe, okalające kiedyś leśniczówkę.

Z prawej strony w zaroślach wisi piwniczny strop, osnuty pajęczynami. Tam w dole męczono, gwałcono, rżnięto na kawałki kobiety, a ich części wrzucano do głębokiej studni, która jest dzisiaj zasypana. Mrowie chodzi mi po plecach, lzy płyną bez przerwy.

Wchodzimy głębiej do lasu, gęstego, ciemnego, wilgotnego i chłodnego mimo upału – przejmującego grozą. Idę na sztywnych nogach, z zaciśniętym gardłem, czuję, że ciało mi lodowacieje. Spotkana tu staruszka potwierdza: tak, to tutaj zginęli Piotr i Milka. I dodaje: piękni to byli ludzie. Oczyma wyobraźni widzę mojego biednego tatę przywiązanego do drzewa, jak obcinają mu kolejne części ciała, wydłubują oczy, a serce jeszcze mu bije – o czym myślał, gdy tracił młode życie. Odpowiedzialność za nas pozostawionych w domu musiała go strasznie boleć, może bardziej niż zadawany ból fizyczny – on tak nas przecież kochał. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa, wszystko we mnie wyło. Padłam na ziemię z modlitwą, wierząc, że na coś się im przyda.

Wróciłam do Lwowa zmaltretowana fizycznie i psychicznie. Pod moją czaszką chaos. Sen nie chciał przyjść. Pod powiekami na przemian – to miejsce, gdzie stał dom, to las, gdzie Oni pozostali na wieki. Ogarnęła mnie obsesja – powiedzieć to całemu światu, wykrzyzczyć, choćby na kartkach papieru, to co tkwi we mnie jak cierń bolący dopóty, dopóki się go nie usunie.

Łódź, 1990

(ze wspomnień nadesłanych
do Archiwum Wschodniego)

Teresa Orzechowska:

Wymazałam z serca, myśli, a nawet pamięci miejsce swego urodzenia jako miejsce pohańbienia. Mimo że kraina ta wywierała na ludziach nieprzeparty urok, mimo że żyłam tam wolna i szczęśliwa we własnym domu, w dobrobycie i miłości rodzicielskiej, nigdy nie odczuwałam nostalgii związanej z tym zakątkiem świata. To miejsce kojarzy mi się zawsze z kaźnią moich najbliższych krewnych i innych istot ludzkich. W tej krainie cieni na strzepy rozszarpano, razem z ciałami moich przodków, moją tożsamość – moje korzenie genealogiczne. Rana przysypana popiołem, zapomniana, pozostała nie zablizniona.

Wybrali i opracowali K.M.-M. i Z.G.

Przewielebny Ojciec,

Zdarza się sposobność przesłania paru słów przez osobę, która uchodzi przed nożami Ukraińców. Co się tutaj teraz dzieje, to brak słów na opis tych rzezi i mordów, popełnianych na polskich rodzinach. Opisy z *Ogniem i Mieczem* Sienkiewicza lub *Pożogi* Kossak-Szczuckiej błędą wobec wypadków obecnych.

W całym powiecie krzemienieckim po wsiach wyróżniło już prawie wszystkich Polaków, a ci, co zdolali ująć hajdamackich noży lub kul, schronili się do Krzemieńca i Wiśniowca, bo jeszcze w tych dwóch miejscowościach stoją załogi niemieckie — w innych, jak Szumsk, Dederkały, Kutry, Lanowce — słabsze załogi wybito lub same uciekły przed licznymi bandami Ukraińców.

Przytoczę chronologicznie kilka wypadków, by mnie nie posądzono o przesadę. Mordowanie Polaków zaczęło się jeszcze w listopadzie ubiegłego roku [1942] i trwało przez całą zimę, lecz były to jeszcze sporadyczne wypadki — w jednej wsi wyróżniło jedną rodzinę, w innej znów dwie lub trzy. Masowe mordy zaczęły się dopiero od Wielkanocy i z każdym dniem nabierają na sile. Zaraz po świętach w wioskach koło Szumska wymordowano do 600 Polaków, reszta schroniła się do Krzemieńca. Potem uderzono na Kutry, była to najliczniejsza parafia w powiecie krzemienieckim (4000 dusz). Gdy zaczęto mordować, ludność schroniła się do kościoła wraz z księdzem proboszczem. W kościele broniono się przez jedną noc, w ciągu dnia kobiety z dziećmi uszły do Krzemieńca, w kościele zostali mężczyźni, by go bronić — następnej nocy naszły liczniejsze hordy, kościół zburzono, a 200 Polaków w nim wyróżniło. Z całej parafii nie została ani jedna dusza. Kościół licealny w Krzemieńcu obrócono na mieszkanie dla tych uchodźców, potem Niemcy zabrali młodych do robót do Niemiec, a starzy cierpią skrajną nędzę.

Z początkiem maja schroniło się do nas dwóch księży proboszczów z Oleksińca i Kołodna. W oleksińskiej parafii już prawie wyróżniło i zrabowano wszystkich Polaków, proboszcz, nie mając co robić, wyjechał wczoraj od nas do Generalnego Gubernatorstwa, kołodeński — również. Prawie codziennie widać luny — palą

osiedla Polaków, a tych, którzy nie uciekli, mordują w bestialski sposób.

Z 15 na 16 maja napadnięto na przezacną rodzinę Kusiów w Młynowcach. Zabito dwie córki i 21-letniego syna. Reszta rodziny zdołała uciec. Napastnicy, po doszczętnym zrabowaniu domu, wrzucili tamże zabitych, a następnie spalili.

Uchodźcy wszyscy uciekają do Wiśniowca, gdzie w klasztorze żyją w oplakanych warunkach i cierpią straszną nędzę. Aż serce się kraje na widok tej nędzy i opowiadań o niej.

Co rano przychodzą wieści — tam zabito, tam zrabowano, tam znów spalono dom wraz z ludźmi. I tak dzień po dniu upływa w męce i naprężeniu nerwów, bo nie ma wątpliwości, że gdy załoga niemiecka opuści Wiśniowiec (zamek), to pierwszej nocy wszyscy Polacy będą wymordowani. Kto może więc, uchodzi do Gubernatorstwa, bo te hajdamaki się zacinają, że ani jedna noga polska nie powinna zostać na Wołyniu. Wiśniowca prawie że już nie ma, bo w mieście były same domy żydowskie, a Żydów wybito w zeszłym roku co do jednego, zaś obecnie Ukraińcy rozebrali wszystkie ich domy i budy — został tylko Zamek, Klasztor, Urząd Gminy i apteka — reszta wszystko rozwalone. Na przedmieściach stoją tylko domy hajdamaków.

Jakie jest tutaj nasze życie, to z tego opisu Wielebny Ojciec sobie wystawi — jesteśmy gotowi na śmierć, bo trzeba by cudu Bożego i szczególnej opieki Matki Boskiej, byśmy z tej pożogi unieśli całe głowy. Bardzo więc prosimy o święte modlitwy, by Pan Jezus się zlitował i uspokojenie nastąpiło, bo naprawdę strasne przeżycia przechodzą tutejsi Polacy, których całą winą jest to, że się urodzili Polakami i są katolikami, bo nawet tych Ukraińców, którzy w czasach polskich przyjęli katolicyzm, mordują.

Kończąc, raz jeszcze pokornie prosimy o święte modlitwy, by nasze nerwy były spokojne i byśmy mogli przetrwać, w kornym zdaniu się na wolę Bożą, te tortury moralne, a może i fizyczne.

Całując kornie święty Szkaplerz, raz jeszcze o modlitwy upraszam.

Krzemieńec, 7 czerwca 1943 (—) *Brat Cyprian*

List przedrukowany w ulotce Rady Głównej Opiekuńczej w Krakowie w 1943 roku (kopia ulotki — w zbiorach Archiwum Wschodniego). RGO organizowała pomoc dla uchodźców z Wołynia — ulotki miały przekonywać, że pomoc jest niezbędna.

Huta Stepańska

GRZEGORZ SOŁTYSIAK

Cytowane tu we fragmentach relacje pochodzą w dużej części ze zbiorów Komisji Historycznej Środowiska 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Środowisko to, zorientowawszy się w 1985 roku, jak słabo zdokumentowany jest ten okres historii, zaapelowało do swych członków o szczegółowe świadectwa. Kopie wybranych relacji przechowywane są m.in. w Archiwum Wschodnim. Wykorzystaliśmy także fragmenty wspomnień Władysława Kobylańskiego W szponach trzech wrogów, złożonych do druku w Wydawnictwie Bellona.

Relacje uczestników wydarzeń zostały tu uzupełnione cytacjami z nie drukowanego opracowania Wincentego Romanowskiego, który opierał się również na świadectwach ze Środowiska Wołyńskiej Dywizji AK. (Red.)

Władysław Kobylański:

Huta Stepańska położona była na małym wzgórzu. Otaczały ją łąki i pola. Od strony zachodniej ciągnęły się duże lasy państwowe, a za nimi – wsie ukraińskie. Południową stronę stanowił Las Mydzki, a od północy także były wsie ukraińskie.

Aż do wybuchu wojny w 1939 roku Ukraińcy żyli w jak najlepszej przyjaźni z Polakami. Liczne rodziny ukraińskie przyjeżdżały ze swych wsi do kościoła w Hucie Stepańskiej. Zdarzało się, że rodziny nasze łączyły się z ukraińskimi, a w 1938 roku sporo rodzin ukraińskich przeszło z prawosławia na katolicyzm.

Janina Lipińska:

Huta Stepańska wraz z małymi kilkurodzinnymi osiedlami miała około tysiąca mieszkańców. Był tam nowy kościół, piękny, drewniany, jeszcze nie całkowicie wykończony; jego strzelista wieża górowała nad okolicą. Mieliśmy piętrową murywaną szkołę, Dom Ludowy, pocztę, posterunek policji, młeczarnię, cztery sklepy spożywcze. Działało Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Związek Strzelecki, Koło Gospodyń Wiejskich, Kółko Rolnicze, szkolna organizacja harcerstwa.

Wśród Polaków było około piętnastu rodzin żydowskich, które trudniły się handlem i rzemiosłem. Ukraińców w Hucie nie było – mieszkali opodal: w Butejkach, Werpcznej, Rudni, Mycku, Horodcu, Kryczyliisku.

Nie mieliśmy z Ukraińcami żadnych zatargów ani przyjaźni – nie było małżeństw mieszanych. Bogatsi rolnicy często wynajmowali Ukraińców do prac polowych czy pasienia bydła. Wśród prostej, często prymitywnej ludności ukraińskiej pojawiali się czasem ludzie wykształceni. I tak choćby w Stepaniu, odległym od Huty o dwanaście kilometrów, kierownikiem szkoły był Ukrainiec; w gminie Stydyń Ukrainiec był wójtem.

Huta była wsią zasobną, choć jak zawsze i wszędzie żyli tam bogaci i biedni. Małorolnym polepszył się byt, gdy w latach trzydziestych odnaleziono w okolicy

lecznicze solanki i błota. Powstało uzdrowisko „Słone Błota” – tam znaleźli pracę i zarobek.

Wkrótce zaczęto budować szpital, lecz przeszkodziła w tym wojna.

W 1939 roku, gdy Związek Radziecki wkroczył do Polski – natychmiast *gołową sielradą* [przewodniczącym wiejskiej rady] został Ukrainiec mieniący się wielkim komunistą. W 1941 roku, po wkroczeniu Niemców, inny Ukrainiec (kolega komunisty), mieniący się nacjonalistą, zajął to samo stanowisko. Dla nas to byli tylko Ukraińcy, którzy, wykorzystując nadarzające się okazje, gromadzili broń i czekali, by zemścić się na Polakach za wszelkie wydarzenia historyczne.

Jesienią 1942 poczęły wybuchać grabieże, pojedyncze morderstwa w chutorach, później, coraz częściej, nadechodziły wieści o napadach na mniejsze polskie wsie, a wieczorem luno pożarów świadczyły, że zbliża się coraz większe niebezpieczeństwo.

Do Huty zaczęli napływać najpierw pojedynczy uciekinierzy z częścią dobytku, z zapasami żywności, a po kilku tygodniach przyjmowaliśmy już całe okoliczne wsie. Ludzie gromadzili się w większe zbiorowiska, zaczęto budować schrony, bunkry, zasieki.

Wciąż mieliśmy nadzieję, że coś czy ktoś nas uratuje, chociaż coraz częściej nie wracali ci, co cichcem odwiedzali swoje opuszczone gospodarstwa, by zabrać pozostawiony dobytek. Niebawem zaczęła znikać słaba nadzieja, że zwyciężymy, że dojdzie do jakiegoś pokoju z Ukraińcami. Doszliśmy do wniosku, że musimy uciekać do Niemiec. To straszliwy paradoks – być zmuszonym szukać pomocy u Niemców, aby mogli w lagrach stłoczyć nas, bezbronych i niewinnych wołyńiaków, jak niczego nie posiadających żebraków, jak nędzarzy, zostawiających swoje domy, dobytek i własną ziemię – na pastwę wroga i zniszczenie.

8 lutego 1943 nadeszła straszna wieść, że w pobliskich Butejkach, ukraińskiej wsi, gdzie było kilka rodzin polskich, wymordowano sześć osób, w tym dwoje młodych narzeczonych z Huty – Eugenię Jucewicz i Edwarda Kalusa.

Na pogrzebie w Hucie Stepańskiej zebrał się niezliczony tłum wystraszonych ludzi. Z zaciśniętych gardel nie mogliśmy wydobyć słów modlitwy. Tylko płacz, szloch, jęk i groza. Ksiądz żegnał tych dwoje, zamordowanych tak barbarzyńsko. Zrozumieliśmy z jego pożegnalnej mowy, że jeżeli nie zorganizujemy się w samoobronie, pojedynczych wytną nas w pień. Musimy stanąć nocą większą liczbą na warcie, ale z czym wartować? Z pałką? Kijem?

Z pogrzebu wróciłam przynębiona do domu. Szybko zapadał zimowy zmierzch. Okna mojej kuchni wychodziły na „Słone Błota”, gdzie mieszkała z rodziną zamordowana Gienia. Nie mogłam zasnąć, dręcząc się wizją ich męczeńskiej śmierci.

Mieszkałam w środku wsi przy głównej drodze. Sąsiadami naprzeciwko była rodzina Piotrowskich: stolarz Stanisław z dziećmi – 24-letnią córką Mirką, 21-letnim Henrykiem i 19-letnim Czesławem.

Tej nocy Henryk był na warcie z kolegą Zbyszkim Hofmanem, uzbrojeni tylko w jakieś pałki. Gdy po północy nadjechały sanie z uzbrojonymi Ukraińcami, wielu innych stróżujących skryło się gdzieś, a ci dwaj zostali zatrzymani. Ukraińcy kazali prowadzić się do gospodarza z dobrymi koniami. Poszli więc do Hipolita Sawickiego (trzeci dom od nas), tam rozebrali chłopców i kazali gospodarzowi ich pilnować, bo w przeciwnym razie wszystkich zabiją, spalą. Syn Hipolita, Marian, poszedł zaprzęgać konie i przez siebie tylko znane wyjście uciekł ze stodoły.

W tym czasie, jak można było wywnioskować później z opowiadań Mirki, do domu Piotrowskich wtargnęło trzech Ukraińców. W pierwszej chwili Mirka myślała,

że to brat wraca z warty, lecz ojciec odrzekł: „*Nie, to nie Henio, ja im się żywy nie oddam*”. Drzwi nie otworzył, wszedł po schodach prowadzących z kuchni na piętro. Czy chciał się stamtąd bronić, czy tylko się skryć, nikt nie wie – zginął wyciągnięty na podwórko i zmasakrowany. Mirka i Czesław słyszeli odgłosy walki. Przez wybite okno wyskoczyli oboje, bosy, w bieleńnię – do nas. Przy migotliwym świetleku ślebaka zauważyli tu przez szybę Ukraińców (włamali się do nas, ale tylko kradli, nie zabili nikogo). Oboje pobiegli więc dalej po śniegu, w siarczystym mrozie, do Hipolita. Tam zastali swego brata, kolegę i jeszcze sąsiada, który na odgłos wystrzałów wyszedł z domu, aby pomóc napadniętym.

Po jakimś czasie banda ukraińska wróciła i rozstrzelała tych trzech mężczyzn. Konali w męczarniach na oczach zamarłych ze strachu gospodarzy. Mirka opowiadała potem, że nigdy nie zapomni tej chwili. Jak Henio mówił, że idzie do mamy, że mu wszystkie wnętrzności wychodzą, że prosi o ratunek, a oni, ukryci, sparaliżowani strachem, nie mogli nawet ruszyć się w ciemności.

O świcie powoli zaczęli zbierać się ludzie, obudzeni strzałami. Wszyscy zrozpaczeni i bezbronni. Od tej nocy, gdy tylko mrok zapadł, chodziliśmy spać do szkoły. Nie można było siedzieć we własnym domu, bo nie był pewny żaden zamek. Na siennikach, derkach, po ciemku, układaliśmy się do snu na podłodze. Mężczyźni zbierali się po kilku lub kilkunastu na warcie.

Coraz częściej małe wsie zostawiały wszystko i ludzie uciekali do Huty. Jeszcze żyliśmy nadzieją, że jakoś to minie. Jeszcze staraliśmy się siać i orać na wiosnę, lecz coraz więcej ludzi gromadziło się w Hucie; w każdym większym domu mieszkało po kilka i kilkanaście osób. Pojawili się partyzanci, jacyś zrutkowie.

Władysław Miszkiewicz:

Stopniowo nasilały się napady band ukraińskich na ludność polską; nie było innej drogi, jak organizować się i nie dać się zaskoczyć. Bandy były dobrze uzbrojone, stacjonowały w dużych zgrupowaniach po wsiach ukraińskich. My początkowo posiadaliśmy zaledwie kilka karabinów. W grudniu 1942 banda UPA napadła na Marianówkę. Podjęliśmy wówczas zacieklą walkę. Pomimo tak słabego uzbrojenia, zabiliśmy kilku banderowców. Napastnicy, nie spodziewając się obrony, wpadli w panikę i zaczęli uciekać zabierając zabitych i rannych. Z naszej strony było tylko trzech zabitych.

Od tej bitwy Polacy zaczęli masowo opuszczać Marianówkę i inne mniejsze wsie, jak Zaramienie, Moszkopol, przenosząc się do większych skupisk ludności polskiej, jak Perłysianka, Balarka – aż do Huty Stepańskiej. Tam, a także w okolicznych wsiach – Omelance, Kamionce, Temnem, Siedlisku, Wyrce, Susznikach, Perespie, Użeniach, Hałach, Rafałowce i Grabinie – organizowano samoobronę.

Wkrótce w Hucie Stepańskiej zaczęło brakować żywności dla zgromadzonej ludności, musieliśmy więc wyjeżdżać na pozostawione wsie polskie i szukać schowanych zapasów. Nie zawsze można było coś przywieźć, ponieważ często zmuszeni byliśmy walczyć z dużymi oddziałami ukraińskimi kontrolującymi okolicę. Dochodziły do nas wieści o morderstwach i innych bestialstwach. W Hucie Stepańskiej też nie było spokoju, częste podjazdy i napady przynosiły ogromne szkody. Sytuacja pogarszała się z każdym dniem.

Lucjan Paczewski:

W Hucie działała – okrzyczana na cały Wołyń – samoobrona, coś w rodzaju oddziału partyzanckiego. Daleko im było do tej nazwy. Była to grupa bez dobrego,

jednolitego dowództwa, skłócona, słabo uzbrojona; ludzie zdolni, o czystym sumieniu, ale nie mieli posłuchu.

Do grupy tej należeli biedniejsi gospodarze: Wiatr, Żołędziowski, Skrzybalski. Natomiast Hutą rządzą inni, bogatsi. Mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy, co ich czeka. Zarabiali pieniądze, handlując produktami rolnymi i składali je pod poduszką... zamiast kupować broń – a tylko ona mogła im zabezpieczyć życie.

Więcej było w pogłoskach o sile Hucian przesady niż prawdy.

Władysław Kobylański:

Ludzi w Hucie Stepańskiej posiadających jakąkolwiek broń było mało. Niespełna tysiąc osób. Broń ta nie nadawała się w zasadzie do użytku. Zdadne do walki były tylko:

- dwa karabiny maszynowe produkcji polskiej,
- jeden LKM lotniczy produkcji niemieckiej,
- dwa RKM-y produkcji węgierskiej,
- cztery RKM-y produkcji sowieckiej,
- trzy granatniki, lecz bez amunicji, oraz 130 karabinów ręcznych różnej produkcji, do których ciągle brakowało amunicji.

Stanisław Szumski:

W marcu, a może w kwietniu 1943 przybył na nasz teren i zamieszkał we wsi Wyrka kpt. „Bomba” oraz jego zastępca por. „Kazik”. Wiedzieliśmy, że ci ludzie przyjechali z Anglii i będą prowadzić pracę organizacyjną i dowódczą na naszym terenie. Wstąpił w nas nowy duch, gdyż miała być zrzucona broń i amunicja.

Wincenty Romanowski:

„Bomba” był dorodnym mężczyzną o jasnych włosach i rasowej twarzy. Chodził w wojskowym mundurze i furażerze bez dystynkcji. Był doskonałym strzelcem. Gdy chodziło o dyscyplinę i posłuch, nie wahał się przed najbardziej drastycznymi decyzjami. Tego wymagało dobro tysięcy ludzi opuszczonych przez państwo i prawo. Unikał rozgłosu, gdyż tylko ostrożne postępowanie umożliwiałoby spełnienie powierzonych mu zadań.

Siedziba „Bomby” leżała w połowie drogi pomiędzy Hutą Stepańską a wsiami Hały i Wyrka. Te trzy wioski, połączone przez Polaków połową linią telefoniczną, stanowiły oś przygotowywanej obrony. Organizatorem ośrodka Hały z ramienia Armii Krajowej był nauczyciel Marcin Brzozowski „Lech”. Podobną funkcję w Wyrce pełnił nauczyciel Leon Lewicki „Lump”.

Władysław Kobylański:

3 lipca 1943 w całej okolicy Huty zapłonęły polskie wsie: Zaulek, Halinówka, Mosty. Pojechaliśmy z pomocą, lecz spóźniliśmy się. Zastaliśmy tam 20 osób zabitych; to byli ci, którzy nie chcieli schronić się w Hucie. 4 i 5 lipca palono dalsze polskie wsie i osiedla: Zahorce, Dąbrowę, Balarkę, Perłysiankę, Debrycę, Raczycę, Pólbiedę i Hutwin.

* Władysław Kochański „Bomba” (1918-1980) – kapitan, cichociemny, w czasie kampanii wrześniowej oficer 48 pułku piechoty, internowany na Węgrzech, po ucieczce z obozu walczył we Francji, w 1940 roku przedostał się do Anglii. We wrześniu 1942 zrzucony do Polski, gdzie został skierowany do II Odcinka Wachlarza, na Wołyń. Po upadku Huty Stepańskiej działał w rejonie Starej Huty w powiecie Kostopol. 22 grudnia 1943 porwany przez Sowieców, przewieziony do Moskwy i skazany na pobyt w łagrze. Do Polski dotarł w 1956 roku.

Ukraińcami dowodził niejaki Stećko. W każdej ukraińskiej wsi znajdował się oddział. W Butejkach stacjonowało co najmniej 1000 dobrze uzbrojonych „rezu-nów”. W Rudni to samo. Miasteczko Stepań wspomagało więc Melnicę kilkuset banderowcami. Mieszkańcy Huty Stepańskiej zmuszeni byli szukać sojusznika, aby przeciwstawić się okrutnym oddziałom banderowskim. Zarząd samoobrony Huty postanowił nawiązać kontakt z organizacją komunistyczną. Sowieci mieli już swoje oddziały partyzanckie, całkiem dobrze uzbrojone, na terenach Wołynia i Polesia. W rejonie Rafałówki znajdował się oddział komunistyczny, którym dowodził Józef Sobiesiak „Maks”. Delegacja obrońców poprosiła go o pomoc.

„Maks” obiecał współpracę. Już w cztery dni później przysłał do Huty 40 ludzi uzbrojonych w broń maszynową i automatyczną produkcji sowieckiej. To podtrzymało ludność Huty na duchu. Korzystając z pomocy „Maksa” postanowiono rozprawić się z banderowcami. W pierwszym rzędzie chciano przepędzić ukraińskie bandy grasujące w pobliżu Huty.

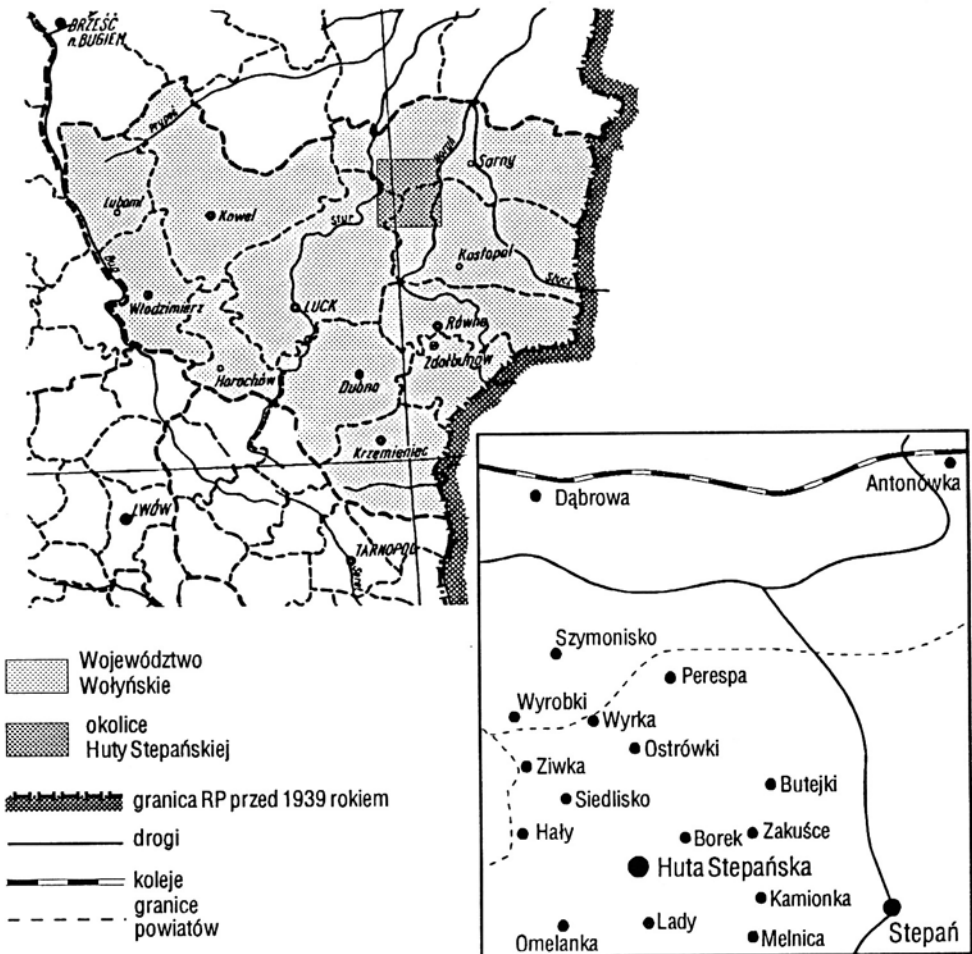
Najbliżej nas, we wsi Melnica, przebywało 500 dobrze uzbrojonych banderowców. Po dokładnym rozpoznaniu nasza bojówka z Huty wraz z partyzantami „Maksa” uderzyła na nich w sile 150 osób, uzbrojonych i dobrze już wypróbowanych w boju. Okrążyliśmy Melnicę i przyległy chutor. Banderowcy nie spodziewali się niczego z naszej strony, po pijatyce spali spokojnie bez ubezpieczenia. Obezwładniając ich posterunki staczaliśmy walki, w których ginęli oni i my. Mimo nakazanej ostrożności, aby przedwcześnie nie poderwać wszystkich do obrony, nie obeszło się bez strzałów. Do mieszkań wrzucaliśmy ręczne granaty i strzelaliśmy do uciekających. Banderowcy bronili się zaciekle.

Na odgłos strzelaniny w Melnicy nadeszły im z pomocą oddziały przebywające w Butejkach i w Rudni. Po rozprawieniu się z wrogimi oddziałami w Melnicy, wycofaliśmy się do Huty. Po drodze napotkaliśmy odsiecz. Ukraińcy zaatakowali nas od strony północno-zachodniej i północno-wschodniej. W starciu tym mieliśmy trzech rannych. Odniesione zwycięstwo wzbogaciło nasze oddziały w Hucie o kilkanaście sztuk broni maszynowej, kilkanaście karabinów oraz dużą ilość amunicji. Huta była wdzięczna „Maksowi” i jego żołnierzom za okazaną pomoc. Przystąpiliśmy do opracowania kolejnego uderzenia na Butejki i Rudnię. Banderowcy też nie zasypiali gruszek w popiele. Postanowili rozprawić się z Polakami w Hucie. Siły Stećki liczyły w tej okolicy ponad 4 tysiące dobrze uzbrojonych ludzi i około 5 tysięcy „rezerw” w okolicznych wioskach.

Ryzyko zaatakowania Ukraińców w Butejkach było bardzo duże. Ponadto otrzymaliśmy informację, że do Butejek w najbliższym czasie ma przybyć niemiecka delegacja wojskowa – w celu uzgodnienia z Ukraińcami planów likwidacji Huty i zamieszkującej w niej ludności polskiej. Na tę wiadomość przybył do Huty „Maks” z całą swoją załogą w sile 80 ludzi. Sowieci mieli doskonale uzbrojenie. Obecność „Maksa” we wsi trzymana była w wielkiej tajemnicy. Jego partyzantów rozlokowano tak, że mało kto o nich wiedział. W tym czasie nasz wywiad doniósł, że do Butejek przybyła już delegacja niemiecka, a Stećko urządza wieczorem wielką ucztę na ich cześć. Dowództwo samoobrony Huty postanowiło wykorzystać okazję i uderzyć na Butejki w nocy z 11 na 12 lipca. Zorganizowano trzy grupy uderzeniowe. Dowódcą całości został „Maks”. Nasze oddziały liczyły łącznie 250 osób.

Zostałem przydzielony do oddziału, którego zadaniem było uderzyć na szkołę. Oddziałem tym dowodził Konawerski, a przy nim znajdował się „Maks”. Wyszliśmy z lasu w odległości stu metrów od szkoły. Zaczęliśmy się czołgać. Znajdując się

przed nami krzewy stanowiły dobrą osłonę. Noc była księżycowa i wszystko widać było jak na dłoni. Na schodach szkoły siedział banderowski wartownik. Wewnątrz budynku grała orkiestra i słychać było kobiece piski. Głośne rozmowy i pokrzykiwania świadczyły o hulance. Partyzanci „Maksa” po cichutku obezwładnili wartownika. Każdy z nas słyszał bicie własnego serca. Nagle, na rozkaz, wszyscy wyskoczyliśmy zza osłony krzewów i ze wszystkich stron budynku szkolnego wrzuciliśmy do środka granaty. Trzy wybuchy wstrząsnęły ziemią. Banderowcy próbowali wyskakiwać przez otwarte okna. Całe Butejki zatrzęsy się od wybuchów i szalonej strzelaniny. Banderowcy jak opętani rzucili się do ucieczki, ale ze wszystkich stron witano ich ogniem. Padali gęsto. Starali się też stawiać opór. W tym czasie zapaliło się naraz kilka zabudowań, doskonale oświetlając miejsce akcji. Mieliśmy zdecydowaną prze-



Przy opracowaniu mapy wykorzystane zostały ustalenia Jana Łaskowskiego

wagę. W popłochu, który wybuchł w ugrupowaniach banderowców, dowództwo zostało skutecznie izolowane w szkole.

W walce w Butejkach zasłużył się porucznik Maciejewski „Kmicie”. On to właśnie ze swoją grupą uderzeniową doskonale poobsadzał wszystkie drogi i ścieżki prowadzące do Butejek. Banderowcy w sile 300 ludzi skierowali się w kierunku niedużej rzeczki. Tam właśnie przywitał ich „Kmicie”, biorąc w krzyżowy ogień z broni maszynowej. Próbowali przedrzeć się poza linię okrążenia, lecz w żaden sposób im się to nie udawało. Ludźcie „Maksa”, doświadczeni w sztuce bojowej, ze wszystkich stron siali zniszczenie w szeregach banderowców.

Po zakończeniu akcji opuściliśmy Butejki. Pole walki zasłane było trupami. Woda w pobliskiej rzeczulce zacerwieńczała się. Na wieść o odniesionym zwycięstwie w Hucie Stepańskiej, gdzie znajdowało się ponad 20 tysięcy ludzi, powstała radość ni do opisania. Mały czy duży, młody czy stary, dziękował „Maksowi” i jego grupce z odniesionym zwycięstwem.

Tymczasem nasz wywiad poinformował, że Ukraińcy mobilizują się do odwetu w Czartorysku, Ośnicy Wielkiej i Małej, Policy, Telcy, Krasnowoli, Kołki, Kryczyliścu, Rumejki, Horodziecu i innych wsiach ukraińskich, gdzie, od roku 1939 począwszy, wyprawiono lub wymordowano Polaków, zostały objęte mobilizacją.

Na wieść miało uderzyć 10 tysięcy banderowców. Uderzenie to miało nastąpić w drugiej połowie lipca. Byliśmy przerażeni. Brakowało nam amunicji.

„Maks” zwołał zebranie w Domu Ludowym. Człowiek, który przed niemal tygodniem był na ustach całej ludności Huty, dziś zmienił swe oblicze. Zaproponował nam, żeby opuścić wieś, gdyż nie widzi szans obrony. Namawiał, żeby wszyscy udali się w lasy pińskie, gdzie znajdują się ugrupowania sowieckie, które otoczą opieką ich wszystkich. Ludzie jednak sprzeciwili się, a „Maks” widząc, że jego propozycja nie została przyjęta, natychmiast wycofał się z Huty, zostawiając jedynie 20 ludzi.

Stanisław Szumski:

16 lipca około dwudziestej trzeciej pełniłem wartę we wsi Tur. W pewnym momencie zaczęła się strzelanina, a chwilę później zapłonęły domy. Na rozkaz Juliana Janickiego „Czynka” zaczęliśmy wycofywać się całą grupą na południe do wsi Wyrka, gdzie stacjonował silniejszy oddział. Przebywał tam dowódca samoobrony, kpt. „Bomba”.

Gęsto padali zabici; Wyrka od strony wschodniej i południowej już płonęła i toczyły się tam straszne walki. Postanowiono wówczas przebijać się polnymi drogami, między Wyrką i Wyróbkami. Wsie te były już jednak prawie całkowicie zajęte przez banderowców, mordowano ludność polską, a zabudowania palono. Nasza kolumna stale się powiększała, a samoobrona – wszyscy mężczyźni uzbrojeni w broń palną i białą (siekiery, widły, kosy) – walczyła z nacierającymi banderowcami.

Kolumna nasza z ogromnymi stratami, wyczerpana do ostateczności, rankiem 17 lipca dotarła do Huty Stepańskiej.

Ignacy Janicki:

W Hucie ulokowano nas w przygotowanych wcześniej ziemnych schronach. Nicustannie napływali nowi uciekinierzy z różnych sąsiednich wiosek i kolonii, w tym między innymi z Podsieleczu, Mutwicy, Huty Myckiej, Ożgowego, Ramaszkowa, Ostrówka, Wyrki, Siedliska, Ład i innych. Robiło się coraz ciasniej i ciasniej. W tym czasie w kościele parafialnym odprawiane były nabożeństwa z nieustającymi

modlitwami i komunią świętą. Modlono się o szczęśliwe przetrwanie i ocalenie od haniebnego śmierci.

Wincenty Romanowski:

W piątek 16 lipca o dwudziestej drugiej w leżącym na południowym zachodzie od Huty Stepańskiej zaścianku Zielona rozległy się głuche dźwięki gongów. Straże donosiły o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Z wieży kościelnej uderzył dzwon. Sygnału tego nigdy nie nadużywano, toteż natychmiast postawiono na nogi całą ludność z okolicznych zaścianków. Kto nie miał broni palnej, chwycił w garść przygotowane uprzednio piki, osadzone na długich drzewcach widły, siekiery i maczugi. Kobiety i dzieci mknęły w ciemnościach do punktów zbornych upatrzonymi ścieżkami i miedzami lub przez bagna i bezdroża. Mężczyźni osłaniali odwrót, sprawdzając, czy ktoś nie zasnął. Uciekano do Huty Stepańskiej lub do odległej o sześć kilometrów Wyrki.

Gdy do Huty Stepańskiej dobiegły pierwsze grupy uciekinierów, „Bomba” miał już rozpoznanie sił i zakresu akcji podjętej przez banderowców. Powiadomił dowództwo Huty Stepańskiej o rezygnacji z obrony Wyrki. Spodziewał się zbyt silnego natarcia, by ryzykować obronę w dwóch lub trzech małych ośrodkach. Prawie cała ludność znajdowała się już w Hucie i tam było jego miejsce jako dowódcy całości. Wysłał więc mieszkańców Wyrki z ubezpieczeniem, a sam na czele oddziału prowadził wypad rozpoznawczy. Wyrka z drewnianą szkołą, kościołem i młynem w ciągu kilku najbliższych godzin zmieniła się w dymiące zgliszcza. „Bomba” 17 lipca nad ranem dotarł do Huty. W czasie przebijania się przez pierścień okrażenia został ranny w rękę.

Lucjan Paczewski:

Noc była jasna – ujrzelśmy wystrzelone ze wszystkich stron Huty czerwone rakiety. Nie rozumieliśmy, co to znaczy, ale ogarnął nas niepokój – to nie mogło wróżyć niczego dobrego. Po chwili zobaczyliśmy nowe rakiety; zaterkotały karabiny maszynowe i rozległ się jęk dzwonu na kościele, szczególnie przerażający w nocnej ciszy. Zaczęło się to, na co wszyscy ze zgrozą czekaliśmy.

Jeszcze parę dni temu ksiądz proboszcz Bronisław Drzepecki po niedzielnej mszy wygłosił z zaprzęzonego wozu krótkie kazanie, w którym nawoływał do wytrwania, do walki. Na nasze karabiny, na naszą postawę liczyły tysiące bezbronnych ludzi.

Huta i wszystkie sąsiednie kolonie i wioski były okrażone przez duże siły banderowców. Mniejsze wsie położone obok Huty paliły się. Słychać było strzelaninę. Pożary czerwoną luną oświetlały noc. Widok był okropny – czytając *Ogniem i mieczem* wyobrażałem sobie jakoś napady Tatarów na wsie kresowe – ale ten obraz przekraczał wyobraźnię.

Nad ranem rozpoczął się atak. Przed naszą kolonią leżała polska wioska Siedlisko, gdzie też Hucianie trzymali obronę. Kiedy już się rozwidniło, usłyszeliśmy strzelaninę i głośnie krzyki. To atakowali banderowcy. Strzelanina nasilała się. Po jakimś czasie od Siedliska w stronę naszej kolonii ruszyły poszczególne sylwetki, a po kilku minutach całe grupy ludzi. To uciekali mieszkańcy wsi. Siła natarcia banderowców była nie do odparcia. Po chwili wieś była w ogniu.

Z tego, co mówili Hucianie i obrońcy z Siedliska, przechodząc w stronę Huty obok nas, można było wnioskować, że banderowców są setki, a nawet tysiące. Pozostaliśmy na kolonii – banderowcy nie nacierali, przygotowywali się. Dopiero

po południu dostaliśmy rozkaz wycofania się. Huta skoncentrowała swoje siły przygotowywała się do generalnego starcia.

Stanisław Sawicki:

Czołowe oddziały ukraińskie wtargnęły do Huty od strony południowej i zachodniej z okrzykiem: „*Rezat Lachiw!*”. Rozgorzała strzelanina. Pociskami zapalającym podpalone zostały zabudowania kryte słomą. Powstało zamieszanie, ucieczka do nikąd, krzyk, lament, płacz dzieci i matek. „Bomba” wydał rozkaz: musimy walczyć – innego wyjścia dla Polaków nie ma. Ruszyliśmy do walki z tym, co kto posiada – pikami, kosami, widłami, bronią myśliwską. Przeważając siły Ukraińców zostały zmuszone do odwrotu. Zdobyto kilkanaście karabinów, które przydały się dla samoobrony, a później w partyzanckim oddziale. W napadzie zginęło kilkadziesiąt bezbronnych osób, przeważająca liczba w wieku starszym (między innymi mój ojciec) oraz dzieci. Rannych było jeszcze więcej.

Wincenty Romanowski:

Głównym punktem obrony i dowodzenia była duża szkoła. Dziedziniec, łączony z ogrodem, zajmował ponad półtora hektara powierzchni. Całość ogrodzona była drucianą siatką. Drzwi wejściowe do szkoły opancerzono blachą z rozebranego czołgu. Żeby zabezpieczyć wnętrze przed granatami, obito okna siatką, a stanowiska strzeleckie zabezpieczono skrzynkami i workami z piaskiem. Kierownik szkoły przygotował izbę dla rannych. Lekarz miał do dyspozycji przeszkolone sanitariuszy. Dwa litry jodiny, z zapasów szkolnego gabinetu chemicznego, stanowiły całe zaplecze lekarskie. Wewnątrz ogrodzenia wykopano liczne schrony. Na przedpolu przygotowano bunkry i rowy strzeleckie, połączone ze szkołą głębokimi rowami łącznikowymi. W szkole, w pobliskich budynkach wiejskich, w schronach, w rowach i wszystkich zakamarkach terenu stłoczyło się kilkanaście tysięcy ludzi. W ciernościach ze wszystkich niemal stron wciąż napływały grupki ludzi lub pojedyncy uciekinierzy. Trzeba było zachować ostrożność przy otwarciu ognia, by nie narażać swoich.

Na jednej z wysuniętych placówek usłyszano gwar rozmów. Droga przybliżała się grupa uzbrojonych ludzi. Zanim nawiązano z nimi pierwszy kontakt, nieco z bólem doszły do wartowników szmery i tłumiony gwar. Od strony pół zaczął napływać tłum. Czoło zatrzymało się w niewielkim oddaleniu na pustym placu po drugiej stronie drogi. W mrokach szarówki ludzkie mrowie powiększało się coraz bardziej i skupiało w jednym miejscu. Ktoś krzyknął: „*Kto tam?*”.

Zapanowała cisza. Snop rażącego światła latarki w rękach Polaka rozwiązał zagadkę. Rozpoznano tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, uzbrojonych w siekiery, widły, kosy, łomy, maczugi i noże. Była to rezerwowa gwardia UPA, przeznaczona do dobijania rannych, chwytania uciekających, wyżywania się przy torturowaniu żywych ofiar i do rabunku mienia pomordowanych ludzi, zanim nie poszedł dymem ich domy. Taki tryb zdobywania polskich osiedli stosowany był we wszystkich rejonach Wołynia.

„*Wziat szkołę!*” – krzyknął ktoś z nich. W tym momencie rozpoczął się piekielny zgiełk. Terkotała broń maszynowa, wspierana nieregularnymi odgłosami ręcznych karabinów, wybuchały granaty. W tłumie rozległy się rozpaczliwe jęki rannych. Żywi i lżej ranni rozpieczęli się w popłochu, pozostawiając na polu kilka ciemnych plam.

Z okien budynku szkolnego i z wysuniętych bunkrów strzelano bez przerwy

Krzyki, jęki, nawoływania – w języku polskim i ukraińskim – przesywały grozą i obeszłałnialy tych, którzy nie skryli się w porę do schronów i kryjówek.

Na przedpolu szkoły Polacy i Ukraińcy zwarli się w walce na noże, siekiery i widły. W gęstym jeszcze mroku napadano na każdego, kto szedł, kto mógł się jeszcze poruszać; zabijano na wszelki wypadek, by ratować siebie i swoich najbliższych. Czasem zabijał Polak Polaka, a Ukraińiec Ukraińca.

Odparto pierwszy atak. Ukraińcy wywozili na tyły swych rannych i zabitych. „Bomba” pod wpływem bólu przestrzelonej ręki zaproponował kierownikowi szkoły przejście dowództwa. Kurkowski odmówił. Jako rezerwista nie czuł się na siłach kierować tak skomplikowaną obroną. Porucznik z zawieszoną na temblaku ręką pozostał na swym stanowisku.

Lucjan Paczewski:

Furmanki konne stały przed szkołą jedna przy drugiej, z dobytkiem, jaki dało się uratować. Krowy, owce, trzoda – biegały luzem. Ryk krów przerażonych pożarami, płacz dzieci, lament kobiet. Brak nadziei na ratunek. A w nas rodziła się zawziętość, zażartość. Sprzedać drogo swoje życie i życie tysięcy Polaków.

Zobaczyłem porucznika w mundurze polskim i rogatywce garnizonówce – mówiono, że to dowódca. Wizytował linię obrony.

Z samego rana przerzucono nas na skraj wsi, gdzie byliśmy cały dzień w obronie. Banderowcy rozpoczęli ataki od strony uzdrowiska „Słone Błota”. Atakować musieli Hutę przez otwartą przestrzeń łąk i pól. A te były pod naszym ostrzałem.

Mieszkańcy Huty, którzy nie mieli uzbrojenia, uzupełniali nasze szeregi, zdobywając broń na banderowcach. Wielu leżało przy nas mając widły, piki i kosy – aby stwarzać wrażenie, że jest nas dużo. Przynoszono nam żywność, ale, przy takim napięciu nerwowym, jeść się nam nie chciało.

Po odparciu jednego z ataków kontratakami, wracaliśmy na stanowiska, zbierając po drodze broń po zabitych banderowcach. Na skraju pola koniczyny leżał banderowiec ciężko ranny w brzuch. Gdy nas zobaczył, nie mógł się już podnieść. Spojrzał na nas z nienawiścią i zaczął zgrzytać zębami. Jeden z naszych przyłożył mu karabin z bagnetem do piersi – a ten sycząc przez zaciśnięte zęby: „Lach”, kurczowo złapał za bagnet obiema rękami – usiłował się przebić. Jeden z Hucian dobił go z pistoletu.

Byliśmy tak podnieceni walką, że policzki paliły nas ogniem – tak, jakbyśmy mieli wysoką gorączkę. Nie zdążyliśmy nawet czegoś zjeść, gdy rozpoczęło się ostrzeliwanie szkoły z moździerzy. Banderowcy wdarli się w poblizze szkoły. Ogień był silny. Wieś paliła się, biegały pozrywane z uprząży konie.

W pewnym momencie zajęliśmy stanowiska obronne w samej szkole. A po chwili przeszliśmy do natarcia. Atakowaliśmy od strony cmentarza w kierunku drogi. Banderowcy odstąpili i ucichli. Wśród nas krążyła wówczas pogłoska, że na tym odcinku razem z banderowcami atakowali Niemcy przybyli ze Stepani. Systematyczny ogień, jego nasilenie, przekonało mnie, że to są Niemcy. Do dziś jednak nie wiem, jak było naprawdę.

Wszystko to wyglądało na pogrom Huty. Wiedziałem, że godziny nasze są policzone. Opowiadania o sile Huty – jak to ma dużo broni maszynowej, działka przeciwpancerne, a nawet samolot jeszcze z 1939 roku – docierające i do Ukraińców, spowodowały tak wielkie skoncentrowanie sił przeciw Hucie. Mieliśmy jedną szansę i nadzieję, że z pomocą przyjdą nam Rosjanie oraz samoobrona z Przebraża.

W kilka miesięcy po tej walce znaleźliśmy ulotki, w których nacjonaliści ukraińscy

pisali, że sześćtysięczne zgrupowanie banderowców rozbiło silne gniazdo oporu polskiego. A naprawdę była nas garstka, tyle że na wszystko zdecydowana.

W nocy zaczęto przy szkole zbierać wszystkich uzbrojonych, a także nie mających broni męczyzn. „Bomba” powiedział nam, że jedyną, bardzo nikłą zresztą szansą na obronę Huty i uratowanie ludzi jest nocny atak skoncentrowanych sił na jednym odcinku – ażeby przez zaskoczenie wywołać dezorganizację i panikę w szeregach przeciwnika. Wiedzieliśmy, że wśród banderowców są setki takich, co przybyli tu na rabunek – przy wielu zabitych znajdowaliśmy powrozy, uzdy, kantary na zrabowane konie czy krowy. Tacy odwagą nie grzeszą, a ucieczka nawet pojedynczych może pociągnąć za sobą innych.

„Bomba” widząc, że mam fiński automat, kazał mi iść przy sobie. Obok niego szli wypróbowani Hucianie: Zygmunt Żołędziowski, Antek Wiatr i inni. „Bomba” miał dziesięcioprzętowy karabin radziecki. Do ataku ruszyliśmy nad ranem. Jeszcze panował zmrok; mgła i dymy ścielące się nisko nad łąkami czyniły nas niewidzialnymi – dopalające się domostwa nie oświetlały nas. Szliśmy po cichu tyralierą przez zboża, starając się podejść jak najbliżej linii banderowskich. Minęliśmy już ostatnie budynki, sady i ogrody, gdzieś z boku dopalała się jakaś stodoła. Przed nami było ogrodzone pastwisko, przy którym rosły wierzby, a trochę dalej na górcę stała kuźnia.

Nagle rozległ się głośny okrzyk: „*Stij, chto ide?*”. Jeden z naszych odkrzyknął: „*Swij!*”. Tę chwilę wykorzystał „Bomba” – rzucił w tym kierunku granat. Zaczęło się... rozszalały się karabiny maszynowe banderowców. Myśmy walili granatami, nie zwracając uwagi, że i nas mogą razić. Okazało się, że banderowcy też podchodzili do wsi w celu zadania nam ostatecznego ciosu. Nawet im przez myśl nie przeszło, że jesteśmy jeszcze zdolni atakować. Stąd tak wielkie zaskoczenie. Nas było kilkuset, tak że nasze „*hurra*” brzmiało bardzo mocno. Biegłem obok „*Bomby*”, a zza drzewa bił po nas karabin maszynowy. Ogień był tak silny, że musieliśmy zalec. Atak nasz zatrzymał się, a to groziło klęską.

„Bomba” był ranny, dostał z erkaemu banderowca, stojącego blisko nas – w tej samej chwili zastrzelił tego *strilcia* i krzyknął do mnie: „*Atakować! Podnoś do ataku!*”. Na tej samej linii co ja leżał banderowiec i ostrzeliwał naszych z erkaemu – nie widział mnie. Bałem się poruszyć, ażeby mnie nie skosił. Ale nie miałem prawa wstrzymywać wykonania rozkazu. Poderwałem się i całą serią skierowałem w strzelającego banderowca, po czym krzyknąłem: „*Naprzód! Hurra!*” i popędziłem przed siebie, panicznie bojąc się, że biegnę sam. Ale posłyszałem za sobą tupot nóg i jak grzmot głośnie: „*Hurra! Hurra!*”.

Leciała nas cała masa ludzi. Banderowcy zaczęli pojedynczo podnosić się i uciekać, a po chwili masowo już uciekali na „*Słone Błota*”. Uciekali w panicznym strachu, jak oszalałe stada dzikich zwierząt – łamiąc płoty, tratując ogrody. Odparliśmy ich dość daleko. Z uzdrowiska zaczęły bić karabiny maszynowe. Musieliśmy wracać. Na polach leżały dziesiątki zabitych banderowców.

Atak ten – jak się potem okazało – był początkiem paniki i osłabienia otaczających Hutę oddziałów banderowców. Była to zbieranina z różnych stron, nawet z okolic Lwowa. Oddziały składały się najczęściej z nie przygotowanych, nie znających taktyki wojskowej, nie wyszkolonych ludzi, których zmobilizowano siłą do ataku na Hutę. Obiecywano im znaczne łupy. Większość tych ludzi pałała nienawiścią do Polaków, ale to w boju nie wystarczało. Myśmy się bili o nasze życie, o życie tysięcy Polaków – to były cele o wiele większe.

Ignacy Janicki:

W czasie naszego „wjazdu” do Huty napotkaliśmy siedzących w rowie partyzantów sowieckich [z oddziału „Maksa”]. Ojciec zapytał ich, dlaczego nie biorą udziału w walce. Jeden odpowiedział mniej więcej tak: mamy za mało amunicji, jest nas za mało, jesteśmy zmęczeni, idziemy do swojej bazy i być może wrócimy tu za jakieś pięć dni w zwiększonej sile. Ponieważ jednak nie wierzą, aby samoobrona mogła tak długo się utrzymać, proponują nam, aby udać się wraz z nimi w kierunku Sarn. Później, w czasie naszej ucieczki, napotykalśmy zwłoki pomordowanych spośród tych, którzy zdecydowali się iść z Sowietami.

Stanisław Szumski:

Po dotarciu naszej kolumny na miejsce okazało się, że wszystkie polskie wsie położone na południe i południowy zachód od Huty Stepańskiej zostały już rozbite i spalone, a sama Huta Stepańska jest ze wszystkich stron otoczona i zaciekle atakowana przez banderowców. Część wsi od strony południowego wschodu była nawet przez nich zajęta, a znajdująca się tam ludność została wymordowana. Później jednak wyparliśmy stamtąd bandytów. Wszystkie przybyłe siły natychmiast wykorzystywano do walki. Walczyłem od strony wschodniej i północno-wschodniej. Była to straszna bitwa. Wszystkie polskie wsie płonęły.

Banderowcy atakowali nieustannie. Mieliśmy mało broni, o uzupełnieniu amunicji nie było mowy, trzeba było ją oszczędzać. Wiedzieliśmy, że wycofać się nie ma dokąd, a więc czeka nas nieuchronna zagłada.

Lucjan Paczewski:

Po południu byłem na odcinku obrony od strony „Słonych Błot”. Leżałem w łańchach żyta na skraju wsi. Przy mnie leżał jeden z mieszkańców Huty, bez broni. Pokazałem mu, jak się ma obchodzić z automatem, gdybym zginął. Taką mieliśmy zasadę, że przy uzbrojonym był ktoś bez broni i w razie śmierci lub ranienia tego pierwszego, natychmiast brał broń.

Banderowcy zaatakowali nas gwałtownym, niespodziewanym ogniem karabinów maszynowych. W pewnej chwili zakurzyło się wokół nas. Obejrzałem się – mój kolega, ewentualny „spadkobierca” automatu leżał na wznak, zabity.

Wincenty Romanowski:

Księża Drzepecki, Bisiecki i Pomoński swym opanowaniem i słowami modlitwy wprowadzali względny spokój wśród zrozpaczonej ludności. Groza położenia była oczywista dla wszystkich. Gdyby zawiodła broń palna, daremny byłby opór za pomocą narzędzi gospodarstwa domowego. Lecz dowództwo i na tę okoliczność przygotowywało mężczyzn i kobiety.

W sobotę 17 lipca po południu umilkły strzały, co bynajmniej nie oznaczało zaniechania oblężenia. Wprawdzie napastnicy wycofali się z terenu wsi, lecz nikt się nie lądził – to było tylko przegrupowanie sił przed następnym natarciem.

Oblężeni mogli pomyśleć o posiłku. W zagrodach pełno było zabitych zwierząt. Kto miał czas, siły i zdrowe nerwy – przygotowywał mięso do bieżącego użytku i na zapas.

Dowództwo AK i przedstawiciele miejscowej społeczności zebrali się na naradę. Stwierdzono, że obrońcom kończy się amunicja. Posiadane resztki mogły wystarczyć do odparcia niezbyt silnego ataku. Jedynym wyjściem z ciężkiej sytuacji była ewaku-

acja. Zarządzono przygotowania do wymarszu w nocnych godzinach – z soboty na niedzielę. Zalecono zabrać tylko najniezbędniejsze rzeczy osobiste.

Nielatwo było ludziom rozstać się z resztkami swego dobytku i wyjść z gołymi rękami na spotkanie głodu i poniewierki. Wbrew zakazowi zaczęto przygotowywać wozy i ładować na nie odzież, żywność, drobny inwentarz żywy i niektóre przedmioty domowego użytku. Kwik świni, krzyk drobiu i ryk wyprowadzanego z obór o tak późnej porze bydła, zmienił nocną ciszę w ostry zgiełk jarmarcznego dnia. Rzecz jasna, nie uszło to uwagi banderowców. Pod Hutę podeszli znowu szperacze, a potem nadciągnęły większe siły.

Nad ranem grupa kilkuset osób, wbrew rozkazowi o odroczeniu ewakuacji, wyruszyła wozami z przygotowanym dobytkiem ruchomym w stronę Wyrki. Tędy mieli przejść do kolci, wiodącej z Kowla do Sarn, gdzie na stacjach pilnowały jeszcze porządku wojska niemieckie.

Władysław Kobylański:

W nocy z 17 na 18 lipca wśród zgromadzonych mieszkańców Huty nastąpił rozłam. Około tysiąca ludzi zdecydowało się uciekać i udali się w stronę Rafałówki.

Poszli prosto na banderowców. Z nimi odeszło kolejnych dwudziestu naszych ludzi z bronią. Przechodząc przez Wyrkę dostali się w ogień banderowców. Powstała straszna panika. Około 400 osób zostało zabitych. Część uciekinierów dotarła szczęśliwie do Grabiny koło Rafałówki. Druga część wycofała się do Huty.

Ignacy Janicki:

W czasie naszego wymarszu, chyba dzięki opatrności, zapadła gęsta mgła, która towarzyszyła nam prawie do końca wędrówki. Była ona zbawienna dla wielu istnień ludzkich, bowiem w centrum Wyrki rozpoczęła się gwałtowna strzelanina od czoła kolumny. Jak się okazało, nasza straż przednia (ubezpieczenie) natknęła się na zasadzkę.

Wśród uciekinierów powstał popłoch i zamieszanie. Furmanki zaczęły się płatać między sobą, jedni zawracali, inni zjeżdżali z traktu. Zjechaliśmy z drogi w pole, by jak najszybciej dotrzeć do lasu. Przez cały czas ucieczki trwały walki pomiędzy naszą obstawą a banderowcami.

Po dotarciu do lasu od strony wschodniej w stosunku do Wyrki, rozkazano, aby wszyscy kierowali się dalej, na północny wschód, w rozproszonych grupach. Byliśmy zgnębieni, przerażeni, głodni i spragnieni. Po drodze przechodziliśmy przez wieś Hały, spaloną i zniszczoną.

O zachodzie słońca dotarliśmy do wsi Grabina, gdzie zauważyliśmy bunkry niemieckie, a w nich lub obok – niemieckich żołnierzy strzegących torów kolejowych przed wysadzeniem ich w powietrze przez oddziały partyzanckie. Rozlokowaliśmy się na łące. Gdy przygotowaliśmy posiłki, nadjechał pociąg towarowy. Niemcy zatrzymali go i kazali nam załadować się do wagonów. I tak zajechaliśmy do Sarn. Zaprowadzono nas na plac obok szkoły, gdzie przenocowaliśmy.

Stanisław Szumski:

W nocy z 17 na 18 lipca banderowcom udało się dotrzeć w pobliże schronów, gdzie ukryła się nasza ludność. Wydawało się, że już dopadną schronów i nastąpi straszna rzeź. Była to decydująca bitwa – na śmierć i życie. Użyto z naszej strony wszelkiej broni, co kto miał w rękę. Wydawało się, że już nic nas od śmierci uchronić nie może, a jednak nadludzkim wysiłkiem udało nam się odeprzeć ataki.

Władysław Kobylański:

Rano 18 lipca nadjechało od strony Butejek trzech jeźdźców ukraińskich. Przywieźli pismo, które odebrał Janek Drozdowski, dowódca odcinka i odesłał je do dowództwa. Banderowcy żądali bezwarunkowej kapitulacji, bo inaczej „żywa dusza nie pozostanie w Hucie”. Kapitan „Bomba” odmówił. Jego zdecydowana postawa podniosła ludzi na duchu, każdy gotów był walczyć do końca.

W tak trudnym położeniu Konawerski dokonał haniebnego zdrady. Opuścił powierzone mu stanowisko wraz ze swoimi partyzantami od „Maksa”, zabierając jeszcze siedemnastu naszych obrońców z Huty i uciekł z bronią maszynową. Bardzo boleśnie odczuliśmy tę zdradę, bo zabrali nam broń i amunicję, która była na wagę złota.

Wincenty Romanowski:

Banderowcy zorientowali się w planach obrońców i przypuścili jeszcze jeden atak. Wdarli się do bunkrów przy kościele, wybili część załogi i zniszczyli mnóstwo inwentarza żywego. Ludność znalazła się znowu w bezpośrednim zagrożeniu, lecz o tyle cięższym niż przedtem, że skończyła się amunicja. Zrozpaczeni chłopcy strzelali już tylko do wyraźnych i bliskich celów, błagając ludność o wyszukiwanie pojedynczych naboju.

To nowe bolesne doświadczenie wpłynęło na zmianę decyzji co do sposobu ewakuacji. Ściągnięto z lasów posiłki. Kategorycznie zarządzone pozostawienie na miejscu taborów. Każdy mógł zabrać tyle rzeczy osobistych, ile był w stanie przynieść sam – na odległość około trzydziestu kilometrów.

Tymczasem o wymarszu nie mogło być mowy, gdyż wieś od kilku godzin była znowu nękana przez gniazda karabinów maszynowych UPA. Najgroźniejsze były te grupy, które zajęły bunkry.

Około dziesiątej grupa śmialków ruszyła rowami w stronę zajętych przez banderowców bunkrów. Czołgając się i wykorzystując każde wgłębienie terenu, dotarli wreszcie do linii przeciwnika. Brawurowym atakiem unieruchomili jeden, a potem drugi karabin maszynowy. Ukraińcy rozpoczęli bezładną ucieczkę, ścigani strzałami z ich własnej broni.

W akcji tej brali udział – między innymi – nauczyciel Nakoniczny, instruktor-ka przedwojennego „Strzelca” Helena Sawicka i dwóch braci Kopijów. Gdy wracali do szkoły z bezcennym łupem, ludność wyszła na ich spotkanie jak do swych wybawców. Była to jedyna chwila radości i odprężenia w sytuacji napiętej do granic ludzkiej wytrzymałości.

Niedługo po tych przejawach entuzjazmu w obozie znowu zapanował groźny mrok rzeczywistości. Nikt nie wątpił, że kolejny atak jest nieunikniony i że po zgromadzeniu nowych sił nastąpi z większą zaciekłością.

W południe nadszła gwałtowna burza. Ulewny deszcz splukał z ziemi krew, obmył zakurzone ciała zabitych, na które nikt nie zwracał już uwagi; nie grzebano ich z powodu braku sił i czasu. Między ciałami ludzi wznosiły się nad ziemią zwłoki wzdętych od upału zwierząt.

Upłynęło jeszcze kilka kwadransów, zanim tłum ruszył w stronę Wyrki. Nieliczne zaprzęgi przeznaczono wyłącznie dla rannych, ciężko chorych, niedołączonych i starców. We wsi pozostały wypuszczone na wolność zwierzęta. Konne patrole poszły na zwiad wzdłuż wyznaczonych do przemarszu dróg. Ostatnim wozem jechał „Bomba”.

Dowódca kazał ominąć Wyrkę, kierując zbity i ruchliwy tłum w leśne gęstwiny.

Czuli się tu bezpieczniej, choć pokonywać musieli bagna i moczary. Często brnęli po kolana w błocie lub zapadali się po pas w trzęsawiskach, pomagając sobie nawzajem w utrzymywaniu się na powierzchni.

Pod wieczór, po ominięciu ukraińskiej wsi Police, mrowie ludzkie załało brzeg lasu, sąsiadującego z Hałami. Od momentu opuszczenia Wyrki przez „Bombę” nikt nie znał losu tej wsi. Teraz widać było świeżo wzniesione pożary. Na tle płomieni przesuwały się sylwetki podpalaczy. W miejscu, gdzie zatrzymali się Polacy, leżały potłuczone garnki, sprzęt domowy, słoma i niedopalone bierwiona. Prawdopodobnie banda zatrzymała się tu, zanim podpałała wieś.

Zarządzono postój i nocleg. Wszyscy byli przemoczeni do pasa, głodni i spragnieni, lecz nie wolno było palić ognisk ani wyprawiać się do pobliskich studni, gdyż upowcy wrzucali do nich trupy. Kto chciał odświeżyć usta, brał cuchnącą wodę z bagien lub kałuż. Po rozstawieniu gęstych wart i czujek, wyczerpani ludzie zasypiali pokotem na mokrej ziemi.

O świcie kolumna wyruszyła znów na północ. Po dotarciu do kolei, ludność rozplynęła się po stacyjkach kolejowych i nie spalonych dotąd polskich wioskach powiatu sarneńskiego. Na stacjach stały wagony, którymi Polacy mogli jechać do Niemiec na roboty. Niemiecka służba werbunkowa i kolejjarze bezskutecznie zachęcali do tego uciekinierów, odmawiając udzielenia im jakiegokolwiek innej pomocy. Część uciekinierów dotarła do Antonówki i mimo zakazu Niemców przedostawała się stamtąd towarowymi pociągami na wschód i zachód, byle jak najdalej od zagrożonego terenu.

Lucjan Paczewski:

Ewakuowanie ludzi pod naszą eskortą odbyło się dwiema grupami – jedna szła w kierunku Rafałówki, druga do Wydymeru. Odchodząc z Huty podpaliliśmy remizę strażacką, w której składaliśmy naszych zabitych – nie chcieliśmy ich pozostawić na profanację banderowcom. Bo i nad zabitymi potrafili się pastwić. Podpaliliśmy też większe budynki ocalale od ognia w trzydniowej walce. Po doprowadzeniu Hucian pod Wydymer, zorganizowaliśmy tam obóz; stamtąd odjechali ci, którzy nie chcieli iść do Niemców. „Bomba” wywieziono z Huty do Wydymeru i tam zakonspirowano. Niewiele wiedziało, gdzie on jest.

W Wydymerze zgrupowało się dość dużo Polaków z okolicznych wiosek, już wcześniej spalonych przez banderowców. Po likwidacji Huty przebywanie tu tak wielu Polaków stawało się po prostu niebezpieczne. Trzeba było jak najszybciej się wycofać.

Po kilkudniowym wypoczynku wyszliśmy w kierunku Antonówki i zakwaterowaliśmy się we wsi Perespa. Leżała ona przy szosie, po której co chwila przejeżdżały niemieckie samochody. Dlatego też musieliśmy się częściowo zakonspirować. W dzień broń mieliśmy ukrytą. Tam też, do Perespy, przybył do oddziału „Bomba” i objął dowództwo. Nazywaliśmy go teraz „Wujek”.

W Perespie staliśmy prawie dwa tygodnie. Kwaterowaliśmy w stodołach, w szkole, w domach, gdzie się dało. Pomimo że byliśmy zakonspirowani, ludność wiedziała o naszym oddziale i codziennie przybywali do nas ochotnicy z sąsiednich wiosek, a nawet z Sarn. Dla Polaków nie było tajemnicą, że pod Antonówką stoją sławni obrońcy Huty, a teraz już polscy partyzanci. Tak powstał, umacniał się i nabierał rozgłosu oddział „Wujka”. Wrogowie również wiedzieli, że powstaje siła, z którą będą musieli się liczyć.

Janina Lipińska:

Ruszyła kolumna furmanek, szli piesi, jechali ranni – dokąd? Do stacji kolejowej – do Antonówki, Rafałówki, gdziekolwiek, byleby uciec od ukraińskiej siekiery. We wsiach położonych bliżej stacji Antonówka, jak Perespa czy Wydymer, ludzie mieli jeszcze nadzieję na przetrwanie, lecz po kilku tygodniach też musieli uciekać do Niemiec, zostawiając swych najbliższych nie pogrzebanych.

Wybrał i opracował Grzegorz Sołtysiak

Postówie

Niepodległościowe dążenia narodu ukraińskiego, silne w dwudziestoleciu międzywojennym, nabrały ostrości po wybuchu wojny. Nastroje proniemieckie, panujące w szerokich kręgach polityków ukraińskich, utrudniały doprowadzenie do polsko-ukraińskiego kompromisu, tym bardziej że ani rząd emigracyjny, ani Polacy w kraju nie wypracowali koncepcji współistnienia obu narodów. Błędy popełnione przez stronę polską, szczególnie w latach 1935-39 (przymusowa katolicyzacja na Wołyniu, niszczenie cerkwi na Chełmszczyźnie, pacyfikacje wsi ukraińskich w województwie tarnopolskim) nie mogły być zatarte ogólnikowymi stwierdzeniami o pokojowym współistnieniu. Główne ukraińskie siły polityczne: Ukraiński Centralny Komitet i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów reprezentowały twarde stanowisko oparcia zachodniej granicy państwa ukraińskiego na linii Sanu i Bugu. Praktycznie żadna poważna siła polityczna w Polsce nie brała takiej ewentualności pod uwagę.

Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej i zawiedzione nadzieje Ukraińców związane z tym konfliktem (między innymi upadek powstania ukraińskiego we Lwowie, aresztowanie działaczy politycznych) spowodowały wzrost nastrojów antyniemieckich i poważny rozłam w kierownictwie OUN. Jednocześnie zaczęły powstawać dobrze zorganizowane i li-

czne oddziały partyzanckie – Tarasa Borowca „Bulby” (bulbowcy) oraz obu odłamów OUN – Ukraińska Powstańcza Armia (banderowcy – od nazwiska przywódcy OUN-B Stefana Bandery) i OUN-M – melnikowcy (od nazwiska przywódcy frakcji Andrija Melnyka). Część środowisk ukraińskich nadal kolaborowała z Niemcami, zezwalając na tworzenie ukraińskich oddziałów wojskowych (SS Galizien) czy policji – szczególnie okrutnej i nastawionej antypolsko.

Pod koniec 1942 roku akty indywidualnego terroru wobec Polaków zaczęły przeradzać się w falę masowych mordów. Planowa akcja w pierwszej fazie objęła powiaty sarneński, kostopolski, rówieński i zdołbunowski.

Pierwszego zbiorowego mordu dokonano 13 listopada 1942 we wsi Obórki koło Przebraża, gdzie Ukraińcy wymordowali wszystkich mieszkańców, nie oszczędzając nikogo. (Niektórzy historycy odrzucają tę datę, uważając, że zbrodni dokonała ukraińska policja podległa Niemcom, a nie nacjonałiści ukraińscy.) Sytuacja pogorszyła się wiosną 1943 po masowej dezercji ukraińskich policjantów do oddziałów UPA. W okresie pomiędzy styczniem a kwietniem 1943 nastąpił gwałtowny wzrost napaści oddziałów ukraińskich na – zazwyczaj bezbronne – wsie i osiedla polskie. Kulminacja ataków nastąpiła w lipcu 1943. W tym czasie dokonano około 300 napadów na polskie wsie, z cze-

go aż 100 pomiędzy 10 a 15 lipca. W sierpniu zanotowano 135 akcji, we wrześniu 39 (dane zebrane przez Środowisko Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji AK).

Na Wołyniu, gdzie Polacy stanowili wyraźną mniejszość (według danych z 1938 roku – jedynie 16,6% całej ludności, z czego w miastach 27,5%, a na wsiach 15,1%), możliwości skutecznej obrony były niewielkie. Podjęto próbę stworzenia lokalnych oddziałów samoobrony; jednak słabo zorganizowane i najczęściej źle uzbrojone nie mogły stanowić skutecznego oporu wobec liczniejszych i lepiej uzbrojonych, a także często wspomaganych przez Niemców oddziałów ukraińskich.

Sytuacja uległa pewnej zmianie dopiero w czerwcu 1943, gdy Komenda Okręgu Wołyńskiego AK, wobec zaistniałej sytuacji „(...) przystąpiła do reorganizacji sił i środków działania. Część sił okręgu pozostała nadal w konspiracji w ośrodkach miejskich, natomiast znaczną część kadry dowódczej, wszystkie siły wiejskie i część miejskich skierowano do walki. Samoobronę oparto na dwóch elementach:

a) tworzenia silnych baz obronnych z kilkunastu wsi o dużych skupiskach ludności polskiej, obronę tych baz podejmą miejscowe oddziały z zastosowaniem umocnień, rowów strzeleckich i zasieków,

b) tworzenie silnych oddziałów partyzanckich ruchliwych, współdziałających od zewnątrz z ochroną baz (...). (za: *Armia Krajowa w dokumentach*, t. III, s. 126-127)

Według fragmentarycznych danych, na Wołyniu powstało około stu ośrodków samoobrony. Pomimo tego Polacy ponieśli ogromne straty. Według danych szacunkowych w ciągu roku zginęło blisko 100 tysięcy ludzi (z czego aż około 20 tysięcy w lipcu 1943), a co najmniej drugie tyle opuściło zagrożone tereny w obawie przed represjami.

Przyjście Armii Czerwonej w 1944 roku pogorszyło jeszcze sytuację Polaków – zli-

kwidowano polskie podziemie i oddziały samoobrony; wywózki na wschód zdzięsiatkowały i tak już nieliczne środowiska polskie. UPA wzmocniona dezertarami z sowieckiej armii nadal prowadziła akcje przeciwko polskim wioskom. Trudno powiedzieć, kiedy skończył się ukraiński terror – znawcy tematu twierdzą, że dopiero na początku lat pięćdziesiątych, wraz z końcem działalności UPA.

•
Samoobrona IIuty Stepańskiej liczyła około czterdziestu uzbrojonych w broń palną mieszkańców wsi pod dowództwem Jana Szabelskiego. W chwili ataku w IIucie było 16-18 tysięcy uciekinierów z pobliskich wiosek. Dowodzenie objął kapitan Władysław Kocharński „Bomba”. W czasie walk zginęło około 40 osób, następnych 300 zginęło w czasie ewakuacji. Nieznane są siły nieprzyjaciela, tym bardziej że według niektórych źródeł w ataku na IIutę brał udział oddział niemiecki.

Niezbyt jasny jest udział sowieckiej partyzantki w obronie IIuty, a także przebieg akcji odwetowych. Osobnym problemem jest też stanowisko Niemców i ich stosunek do tej samoobrony. Zapewne wiedzieli oni o współpracy IIuty z Sowietami, musiało im więc zależeć na likwidacji tego ośrodka oporu.

Jakie były dalsze losy obrońców?

Ludność cywilna przeszła po upadku IIuty do miejscowości Antonówka, gdzie zorganizowano kolejny obóz obronny, a po jego rozwiązaniu, gdy minęło niebezpieczeństwo, rozproszyła się w większych miejscowościach – Kowlu, Sarnach, Rafałowie, unikając w większości wywózki do Niemiec. Oddział kpt. „Bomby” zgrupował się w Perespie koło Antonówki pod Sarnami. Tam został wzmocniony ochotnikami z okolicznych wsi. Walczył dalej.

G.S.

Polski policjant na Wołyniu

GRZEGORZ MOTYKA

Oobecność Polaków w niemieckiej policji pomocniczej w czasie II wojny światowej jest mało znana. W powszechnym mniemaniu żaden Polak nie mógłby współpracować z okupantem. Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana.

Wiosną 1943 na Wołyniu banderowska frakcja Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i podległe jej oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) rozpoczęły na szeroką skalę walki partyzanckie z Polakami, Niemcami i Sowietami. Sygnałem do tego była dezercja ze służby niemieckiej jednostek ukraińskiej policji pomocniczej, a także członków Landdienstu (policji rolnej) oraz służby ochrony kolei. Miała ona miejsce pomiędzy 19 marca a 14 kwietnia, kiedy to — jako ostatnia — przeszła do partyzantki szkoła policyjna w Maciejowie. W sumie spośród 12 tysięcy policjantów-Ukraińców wezwania usłuchało ok. 5 tysięcy, walnie wzmacniając szeregi UPA. Część z pozostałych policjantów zdezerterowała w późniejszym okresie.

W ramach działań przeciwko Niemcom OUN-UPA likwidowała administrację okupacyjną, folwarki pod zarządem niemieckim (*Liegenschaft*), starała się unieemożliwić ściąganie kontyngentów. Nie atakowała natomiast — by pośrednio nie wspierać Sowietów — oddziałów Wehrmachtu. Do końca 1943 roku partyzantka ukraińska opanowała znaczne tereny Wołynia, ograniczając władzę Niemców do większych miast i głównych linii komunikacyjnych.

Na działania OUN-UPA Niemcy odpowiedzieli terrorem. W trakcie ekspedycji karnych niejednokrotnie wybijano całe wsie ukraińskie. Także w miastach przeprowadzano masowe egzekucje. Władze niemieckie postanowiły wykorzystać przeciwko Ukraińcom także Polaków, co ułatwiła im prowadzona przez OUN-UPA krwawa akcja antypolska. Niemcy dostarczyli niewielkie ilości broni niektórym polskim samoobronom oraz rozpoczęli wśród polskiej ludności nabór do policji pomocniczej.¹ Sprowadzili również z Generalnej Guberni (GG) oddziały policji złożone z Wielkopolan i Ślązaków (przy przechodzeniu przez zamieszkane przez Polaków miejscowości nakazywano im śpiewanie polskich pieśni). Poczynania te jeszcze bardziej konfliktowały Polaków i Ukraińców.

GRZEGORZ MOTYKA jest historykiem, pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN; zajmuje się m.in. walkami polsko-ukraińskimi na terenie dzisiejszej Polski w latach 1943–48. W poprzedniej „Karcie” podał do druku wybór dokumentów o negocjacjach między UPA a Niemcami w 1944 roku.

Niemcy przetrucili także na Wołyn batalion policji prawie w całości sformowany z Polaków z GG. Był to Schutzmannschaftsbatallion 202 utworzony w maju–czerwcu 1942 w Kochanówce k. Dębicy. Jego dowódcą był hauptmann Tschneider, a ze strony polskiej — *volksdeutsch*, major Policji Polskiej Ignacy Kowalski. Dowódcami trzech 120-osobowych kompanii byli: Z. Włoczewski, J. Kołodziej i B. Nowakowski. Policjanci nosili mundury koloru khaki, stąd często nazywano ich „zielonymi”. Komenda była wydawana w języku niemieckim.²

Na początku 1943 roku batalion stacjonował w Łucku, Torczyniu i Ołyce. W lipcu przesunięto go do Klewania, a następnie rozmieszczono w powiatach Równe i Kostopol. Na początku 1944 roku batalion został rozbity przez Armię Czerwoną, jego resztki wycofano do Lwowa.

Spośród miejscowej ludności stworzono sieć posterunków wiejskich oraz co najmniej jeden samodzielny batalion — Polnisches Schutzmannschaftsbatallion 107, sformowany we Włodzimierzu Wołyńskim. W sumie, wliczając oddział sprowadzony z GG, na Wołyniu działały aż trzy bataliony polskiej policji³ — co najmniej 1,5 tysiąca ludzi. Historyk wołyńskiej AK, Wincenty Romanowski, pisze ze zrozumieniem o działalności policjantów: „Polska policja, samodzielnie lub pod dowództwem Niemców, przez kilka miesięcy sprowadzała do miast zagrożoną lub zrujnowaną materialnie ludność wsi, zbierała zwłoki po napadach UPA, ochraniała wyprawy po żywność i paszę, strzegła bezpieczeństwa żniwiarzy i ludzi pracujących przy wykopkach w 1943 r. Brała również udział w wyprawach odwetowych na ukraińskie wioski, wspierana najczęściej przez formujące się grupy samoobrony. Czasem były to wyprawy rekwizycyjne lub rabunkowe, konieczne dla wyżywienia pozbawionych swych gospodarstw polskich rolników. Zwalczano, niestety, gwałt gwałtem”.⁴

Z kolei jeden z najlepszych znawców dziejów UPA, Lew Szankowskyj, pisze, że „polska policja na Wołyniu składała się z elementów [...] które ziały nienawiścią do wszystkiego co ukraińskie”; wspólnie z Niemcami i Uzbekami 14 lipca 1943 zamordowała ona w Malinie 624 Czechów i 124 Ukraińców (co potwierdzają też inne źródła), a wcześniej, 2 lipca, we wsi Hubki (?) zabiła kilkuset Ukraińców.⁵ Inny badacz, Wołodmyr Kosyk, oskarża polską policję o spalenie 80 budynków we wsi Dermań i zabicie 70 Ukraińców. Pisze, że na co dzień policjanci zmuszali Ukraińców do mówienia po polsku i zdejmowania czapek na powitanie; nie wypełniających tych poleceń bito lub karano śmiercią. Za „szczególnie okrutny” — według niemieckich meldunków, do których dotarł Kosyk — uchodził Schutzmannschaftsbatallion 202.⁶

Akcje pacyfikacyjne polskiej policji przeciwko Ukraińcom potwierdzają też dokumenty sowieckie. W jednym z meldunków sowieckiej partyzantki, podpisanym przez gen. Begmę, czytamy: „Polacy razem z Niemcami uczestniczą w operacjach przeciwko nacjonalistom, np.: przez nich całkowicie spalona została wieś Triputin [?] i częściowo Hranie, obie jak najbardziej nacjonalistyczne. 11 maja [...] Polacy razem z Niemcami okrążyli nacjonalistyczną wieś Cepcewicze, powiat włodzimierski, rozbili nacjonalistów i zabrali ukraińską młodzież na roboty do Niemiec”.⁷

Z polskich autorów negatywną opinię na temat policji polskiej wyraża żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Leon Karłowicz. Jego zdaniem przybycie policjantów do Zasmuk w 1943 roku zdezorientowało mieszkańców, którzy nie wiedzieli, czy uważać ich za sprzymierzeńców, czy za wrogów. Zabili oni w Zasmukach dwie kobiety i dowódcę miejscowej samoobrony Wróbla, oskarżywszy go o współpracę

z UPA. Jak zaznacza Karłowicz, bardziej jednak prawdopodobną przyczyną mordu był spór pomiędzy Wróblem a policjantem Kurpiasem o dziewczynę.⁸

Polskie podziemie negatywnie odniosło się do formowania polskiej policji w służbie niemieckiej. W jednym z meldunków oceniono ją następująco: „*zachowaniem [...] nie różni się niczym od dawnej milicji ukraińskiej*”⁹. Pomimo to do jednostek policji skierowano wielu członków ruchu oporu z zadaniem przejścia nad nimi kontroli. Wprowadzali tam swoich ludzi również komuniści. I tak z ich polecenia Czesław Warchocki zorganizował posterunek policji w Krymnie na Polesiu i wkrótce przeszedł z całą swoją załogą do partyzantki sowieckiej¹⁰. Podobnie postąpił Mikołaj Kunicki „Mucha”, wyprowadzając do lasu całą kompanię policji polsko-białoruskiej (dowodził on później sowieckim oddziałem partyzanckim im. Stalina)¹¹. W nocy 10/11 kwietnia 1943 w Jarmolińcach na wschodniej Ukrainie doszło ponoć do bliżej nie znanego buntu batalionu policji polsko-ukraińskiej (!). Niemcy otoczyli zbuntowanych policjantów i wezwali do kapitulacji. Grupa 60 Polaków poddała się i została rozstrzelana, natomiast Ukraińcom udało się przebić.¹²

W nocy 20/21 stycznia 1944 stacjonujący w Maciejowie Schutzmannschafts-bataillon 107 aresztował niemieckich oficerów i zabrał broń. W ten sposób 450 dobrze uzbrojonych ludzi zasililo szeregi 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Dowództwo AK, nie dowierzając im zbyt, rozdzieliło ich po poszczególnych oddziałach — zmieniając całą kadrę dowódczą. W sumie, razem z policjantami, którzy zdezerterowali z okolicznych posterunków, w skład 27 Wołyńskiej DP weszło ok. 700 byłych policjantów, co stanowiło ok. 10 procent jej składu osobowego.¹³ (Policjanci ukraińscy w UPA na Wołyniu stanowili z pewnością 30 procent składu.)

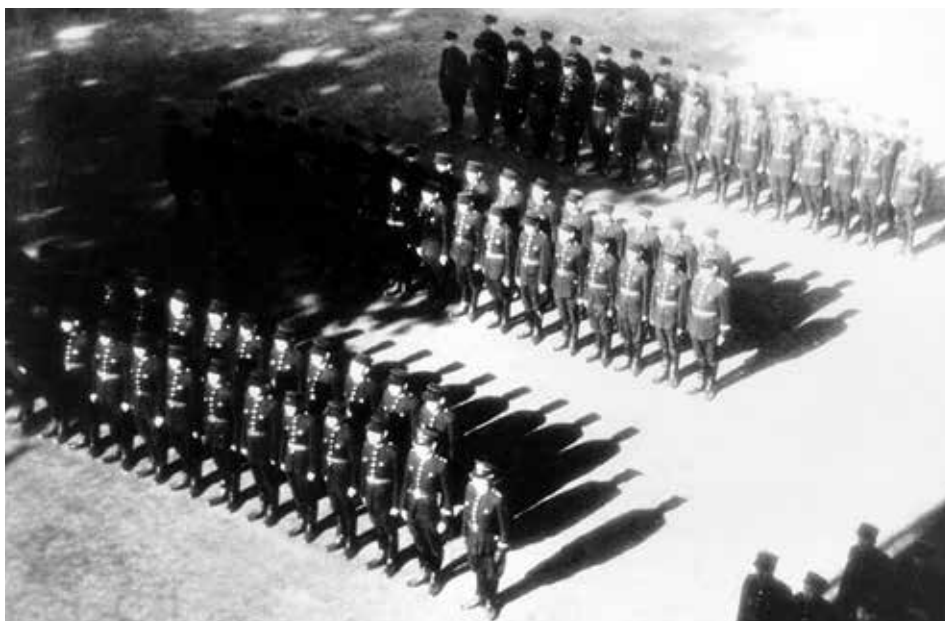
Czy rzeczywiście działania polskiej policji pomocniczej na Wołyniu były jedynie odpowiedzią na poczynania Ukraińców? Jak wielu Ukraińców padło jej ofiarą? Jak częste były występkę policji przeciw ludności cywilnej? Pytania pozostają otwarte.

Grzegorz Motyka

Przypisy

1. Warto przytoczyć tu fragment meldunku polskiego podziemia: „*Sposób przeprowadzania śledztwa ma ze strony Niemców charakter wzajemnego szcucia Polaków i Ukraińców. Polega to na tym, że zbiera się od miejscowych Polaków zeznania przeciwko Ukraińcom, a następnie po wezwaniu Ukraińców odczytuje się im te zeznania, dążąc do wyciągnięcia w zamian oskarżeń przeciwko Polakom*”. Studium Polski Podziemnej w Londynie (SPP), 3.1.1.13.2.1, Sprawozdanie sytuacyjne z Kraju nr 4/43, s. 45.
2. Wincenty Romanowski, *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944*, Lublin 1993, s. 95–97.
3. Lew Szankowskyj, *UPA, w: Istorija ukrajinskoho wijiška*, Winnipeg 1953, s. 663.
4. Wincenty Romanowski, *op. cit.*
5. Lew Szankowskyj, *op. cit.*, s. 663. O udziale policji polskiej w pacyfikacji Malina pisał też prawosławny biskup rówieński-krzemieniecki Platon do biskupa Polikarpa w liście z 20 lipca 1943 (Centralne Państwowe Archiwum Wyższych Organów Władzy i Administracji Ukrainy w Kijowie, f. 3833, op. 1, d. 90, k. 13).
6. Wołodymyr Kosyk, *Ukrajina i Nimeczczyna u druhij switowij wiji, Paryż – New York – Lwiv 1993*, s. 395–396.
7. I. Bilas, *Represywno-karalna systema w Ukraini 1917–1953*, t. 2, Kyjiw 1994, s. 392.
8. Leon Karłowicz, *Od Zasyk do Skrobowa. Wspomnienia żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK*, Opole 1994, s. 98–99.
9. SPP, 3.1.1.13.2.1, Sprawozdanie sytuacyjne z Kraju nr 9, s. 46.
10. Czesław Warchocki, *Rzeczpospolita partyzancka*, Warszawa 1972.
11. Mikołaj Kunicki, *Pamiętnik „Muchy”*, Warszawa 1959.
12. Lew Szankowskyj, *op. cit.*, s. 664–665.
13. Józef Turowski, *Pożoga. Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK*, Warszawa 1990, s. 154–157.

Relacja policjanta



Szkola policji w Dębicy. Fot. Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie

1 czerwca 1942 r. zawiązany został polski batalion policji, tzw. Schutzmannschafts-bataillon 202. Miał to być batalion polskiej policji mundurowej, zgodnie z anonsem, jaki wyczytaliśmy w gazecie, który brzmiał: mężczyźni od lat 18 do 30 mogą zgłaszać się do polskiej policji w Krakowie. Zwerbowali nas jednak do Dębicy i zakoszarowali w obozie 44/SS (Truppenübungsplatz d. Waffen SS) i do końca naszego pobytu w tym obozie okłamywano nas, że szkoleni jesteśmy na polskich policjantów.

Batalion ten przeważnie składał się z ludzi młodych, w wieku lat 18–24, których po większej części ścigało gestapo za różne przekroczenia, jak ucieczka z Baudienstu lub Niemiec, paskarstwo, kradzieże; nie brakło też takich, którzy zgłosili się tu dlatego, że porzucili pracę, z której nie mogli wyżyć i w następstwie groził im wyjazd na przymusowe roboty do Niemiec. Do takich należałem i ja.

Po przyjeździe do Dębicy zaraz zorientowaliśmy się, że szkolą nas do walki z partyzantami, ale cofnąć się było za późno. Na liczne nasze protesty, podnoszone

Opracowana przez Grzegorza Motykę i Marka Wierzbickiego, anonimowa relacja polskiego policjanta powstała w marcu 1944. Istnieje w postaci kopii maszynopisowej, zrobionej zapewne z rękopisu. Wchodzi w skład zbioru Wojciecha Bukata (znalazcy) — odnalezionego w 1996 roku, przekazanego Ośrodkowi KARTA przez Instytut Studiów Politycznych PAN. Zbiór zawiera dokumenty z lat 1943–44 pochodzące z Biura Wschodniego przy Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj, zajmującego się zbieraniem informacji z Kresów Wschodnich II RP.

wówczas jeszcze dość nieśmiało, Niemcy do ostatniej chwili uparcie tłumaczyli nam, że szkolą nas na policję polską.

Dla nadania pozorów prawdziwości [tym] twierdzeniom, wmieszali w program wyszkolenia wykłady o przepisach policyjnych, kierowaniu ruchem ulicznym itp., co nam się nigdy nie miało przydać i nie przydało. Jak również dla pozorów sprowadzono podoficerów polskiej policji jako instruktorów szkolnych, którzy w większej części nie znali języka niemieckiego, a cóż mówić o komendzie niemieckiej — gdyż tylko ta obowiązywała — lub o taktyce bojowej niemieckiej. Toteż ci podoficerowie mieli podwójną pracę: uczyć w pierwszym rzędzie siebie, a potem nas, gdyż Niemcy sprawowali tylko nadzór nad całością.

Umundurowano nas w mundury litewskie*, a karabiny dostaliśmy polskie. Wyszkolenie nasze trwało siedem miesięcy, Niemcy na zewnątrz ustosunkowani byli do nas dość przyjaźnie.

W sierpniu wyjechaliśmy po raz pierwszy na obławę w okolice Kolbuszowej, wraz z całym obozem SS. W założeniu było, że w lasach około Kolbuszowej grasuje banda żydowska wraz z partyzantką bolszewicką. Zadaniem naszym było odciąć tyły rzekomej bandzie, jednakże nie spotkaliśmy się z żadną bandą, jak również SS, i powróciliśmy po tygodniu bez żadnych rezultatów. Do końca naszego pobytu w Dębicy nie zaszło nic specjalnego. Niemcy karmili nas kapustą, a sami jedli i pili bez ograniczeń. Nasze żądania o poprawę bytu nie odnosiły żadnego skutku. Sprzedawaliśmy swoje cywilne rzeczy i kupowaliśmy chleb i inne artykuły w pobliskich wsiach. Na miesiąc przed wyjazdem wikt nasz się poprawił, otrzymaliśmy w dwóch turach siedmiodniowe urlopy i w dniu 25 stycznia 1943 r. wyjechaliśmy na Białoruś rosyjską do miejscowości Borysów. Tu otrzymujemy mundury niemieckiej schutzpolicji. Tu przywitał nas generał-major d[owód]ca SS i pol[icji] na Białoruś.

W swym przemówieniu dał wyraz gorącej przyjaźni, jaka istniała między narodem niemieckim a polskim za życia marsz. Piłsudskiego. Idee Piłsudskiego pokrywały się całkowicie z ideami narodu niemieckiego i gdyby nie śmierć marsz. Piłsudskiego, nigdy by nie doszło do wojny między Niemcami a Polską. Błąd, jaki popełniła Polska przystępując do wojny z Niemcami, jest do naprawienia i do tego powołani zostaliśmy my. My zadecydujemy o przyszłości Polski. Od nas zależeć będzie, jak będzie wyglądać w przyszłości państwo polskie lub czy w ogóle ono będzie wyglądało. Tak brzmiało przemówienie — brednie niemieckiego generała, które doprowadziło nas do jeszcze większego rozgoryczenia.

Po paru dniach wyjechaliśmy z Borysowa 20 km do wsi Słoń [?], gdzie osiedliliśmy się w dawnym domu „otdycha”, z którego stworzyliśmy punkt oporu (*Stützpunkt*) przeciwko partyzantom bolszewickim przez pobudowanie bunkrów i palisady wokół naszych zabudowań. Tu opanował nas istny szal. Nikt o niczym innym nie mówił, jak tylko o tym, by nawiązać nić z partyzantami i przedostać się do Rosji i następnie połączyć się z polską armią, jaka podobno miała być w Rosji, lub może i do Anglii.

Ale żaden z nas nie miał gwarancji, jak przyjęty zostanie przez wspomnianych partyzantów. Toteż żyliśmy w wielkim niepokoju, snując przeróżne plany ucieczki. A Niemcy, którzy obserwowali nas zawsze pilnie, z twarzy naszych wyczytywali

* Zdaniem historyka wołyńskiej AK i zarazem świadka ówczesnych wydarzeń, policjanci byli ubrani w mundury radzieckie. Wincenty Romanowski, *ZWZ-AK na Wołyniu 1939–1944*, Lublin 1993, s. 96.

nasze myśli i stosowali coraz większe rygory. Zabroniono nam rozmawiać i stykać się z ludnością miejscową, następnie wzbroniono nam wstępu do domów cywilnych i w końcu zabroniono nam całkowicie wychodzenia poza palisadę. Za opuszczenie koszar groził 14-dniowy areszt. Ale mimo tego wykradaliśmy się do pobliskich chałup. Pewna grupa nasza doszła do porozumienia z partyzantami. Wypada dodać, że mieszkaliśmy wśród lasów i zdani byliśmy na własne siły, które były wprost śmieszne w porównaniu z olbrzymimi bandami, jakie krążyły wokół.

Z końcem marca 1943 r. ucieka pierwszych dwóch do partyzantów, którzy zmuszają ich do wciągnięcia całej kompanii z bronią. Próby te jednak nie udały się. List, który został wysłany przez partyzantów — w którym bolszewicy nazaczyli termin, kiedy okrążą obóz, a my przejdziemy na ich stronę — wpadł nie wiadomo w jaki sposób w ręce Niemców. Zostaliśmy natychmiast rozbrojeni. W związku z tym listem aresztowano dwunastu, zarzucają nam zdradę. Zarzucają nam, że utrzymujemy łączność z bolszewikami, że list, który został nam doręczony, wartownik przejął i był podawany z rąk do rąk itd. „*Jeżeli nie możecie walczyć z patriotyzmu, to walczyć przynajmniej dla swego życia i wolności waszych rodzin*” — tak przemawiał nasz dowódca. We wspomniany wieczór partyzanci okrążyli nasz obóz wzywając wartę, by podeszła do nich. Wartę jednak w noc tę pełnili sami Niemcy. Bolszewicy widząc, że nic nie wskórają, puścili parę serii nad nami dla strachu i odeszli.

Na drugi dzień rano oddali nam karabiny, ale obawa nasza nie minęła, spodziewaliśmy się obozu karnego. Na dobitkę tego udowodniono jednemu, że wrócił w nocy ze schadzki z partyzantami. (Wiadomości tych wszystkich dostarczał Niemcom szef komp[anii], szpieg, Polak, Hardycz Józef, który wkrótce potem został również aresztowany.) To pogorszyło naszą sprawę, bo Niemcy ugłaskali nas tym, że element buntowniczy w kompanii został usunięty i że wierzą, że reszta nie [jest] zdemoralizowana. Po tym wypadku znowu stracili rzekomo zaufanie do nas. Stosunek Niemców do nas zaostrzył się jeszcze bardziej.

W obawie przed lagrem ucieka w dalszym ciągu jeden z naszych, wicekapral [tj. unterkorporal], do partyzantów. Teraz już nie mamy złudzeń co do naszej przyszłości. Niemcy bez przerwy naradzają się. Zajęcia codzienne odpadły, czekamy tylko na jakąś jednostkę SS, ażeby przyjechała po nas.

Następnie dowiadujemy się, że partyzanci nie bardzo delikatnie obchodzą się z tymi trzema, którzy przeszli na ich stronę. Żądają od nich wszystkiego, a w pierwszym rzędzie wciągnięcia reszty; nie wypada nam nic innego, jak szukać zgody u Niemców. W tym celu wysłaliśmy delegację do dowódcy kompanii z zapewnieniem o naszej lojalności w stosunku do służby. Dowódca żądał czynów, nie mając zaufania do zapewnień. Podejmujemy się ciężkiego zadania. Wieczorem wychodzi pluton bez udziału Niemców i urządza zasadzkę we wsi oddalonej 4 km od nas na partyzantów, którzy według relacji tubylców nocą zachodzą do nich. Po całonocnym wyczekiwaniu wróciliśmy z powrotem bez rezultatu, gdyż partyzanci nocy tej nie przyszli.

Za parę dni nadarzyła się sposobność druga — rehabilitacji. Mianowicie wartownik przytrzymał szpiega rosyjskiego, kobietę, która wręczyła mu list. Bezpośrednio po tym zdarzeniu wyjeżdżamy na północ od Boris [właśc. Borysowa] do akcji przeciw partyzantom, trwającej cały miesiąc. W akcji tej bierze udział [prawdo] podobnie 5 tysięcy wojska, po większej części obcokrajowcy: Rosjanie,

Estończycy, Francuzi, Niemcy zaś tylko w częściach zmot[oryzowanych] i pancernych. W akcji tej nie spotkaliśmy nigdzie partyzantów i — według naszych wiadomości — nikt nie spotkał.

Podczas trwania tejże akcji dostajemy wiadomość o mordzie pod Katyniem i z każdej kompanii wyjeżdża delegacja na miejsce zbrodni. Reszta zaś wraca i po dwóch tygodniach wyjeżdża cały batalion do Łucka. W Łucku Polacy przyjmują nas wprost z entuzjazmem. Opowiadają nam o terrorze Ukraińców. Opowiadają nam, że Niemcy licznym delegacjom Polaków, skarżących się na Ukraińców, odpowiadają — już cały rok — „Przyjdą wasi, będą was bronić”.

Po paru dniach pobytu w Łucku wyjeżdża kompania nasza do Klewania. Droga wypada nam przez las. Po wszystkich krzakach i gałęziach drzew widzimy poprzewieszane białe kartki papieru. Zdziwieni tym zatrzymujemy auto i zdejmujemy parę ulotek z krzaków. Ulotki te są w języku ukraińskim, skierowane do ukraińsk[ich] Schutzmannów, którzy uciekli do lasu z bronią, i brzmią mniej więcej w ten sposób: „Ukr[aińscy] Schutzmanni, wy ulegliście zbrodniczej komunistycznej agitacji. Wracajcie do swych jednostek, wy nie będziecie karani, jeżeli do oznaczonego terminu wrócić”. Po paru minutach jazdy spotykamy ukr[aińskich] Schutzmannów, którzy ulotki te rozwieszają.

W Klewaniu stacjonuje tenże batalion ukr[aińskich] Schutzmannów w czarnych mundurach — znienawidzeni przez Polaków, bandyci. Po przyjeździe d[owód]ca przemawia do nas: „Znajdujemy się teraz na innym terenie. O wszystkim, co było w Rosji, musimy zapomnieć, gdyż ludność tutejsza jest kulturalna, nie ma tu partyzantów. Przyjeżdżamy tu dla ochrony Polaków, ale nie znaczy to, żeby ktoś z nas załatwiał jakieś osobiste porachunki z Ukraińcami”. Następnie apeluje do nas, byśmy postępowali z Ukraińcami sprawiedliwie, zabrania się stykać z nimi.

Terror ukraiński po naszym przyjeździe wcale nie ustaje. Polacy w dalszym ciągu śpią w kościele, mieszkania ich rabują doszczętnie czarni Schutzmanni ukr[ińscy] [zwani] krukami. W dzień pod byle pozorem aresztują Polaków, którzy przepadają bez wieści. Charakterystyczne jest to, że nie mają żadnej władzy zwierzchniej niemieckiej. D[owód]ca ich — major Ukrainiec, który jest całym bogiem w Klewaniu. Ludność ze łzami błaga nas o pomoc, której udzielić nie możemy. D[owód]ca nasz bowiem nie ma prawa mieszać się w rządy Ukraińców. Postanawiamy działać na własną rękę. Zaczynamy bić Ukraińców po pyskach za to, że nie zdejmują czapek przed nami. Schutzmannów ukr[aińskich] zwracamy, zmuszając ich również do salutowania.

Po pewnym czasie jest specjalny rozkaz zabraniający nam w delikatny sposób tej czynności. D[owód]ca nasz twierdzi, że świadczy to o ich kulturze i małej dyscyplinie, że nie oddają honoru. Każe nam również nie oddawać honoru im. A więc coś zupełnie nowego — odpowiadamy mu. Dotychczas mieliśmy rozkaz pozdrawiać wszystkich wyższych stopniem w jakimkolwiek mundurze. Niezadowolenie wzrasta wśród nas coraz bardziej. Codziennie wieczorem słyszymy ze szkoły, gdzie koszarują Ukraińcy, śpiew — *Smert' Lachom*. Donosimy o tym naszemu dowódcy, który rzekomo wzywa tych, co słyszeli i twierdzi, że wysła o tym meldunek. Sprawa ta pozostaje bez echa. Aż raz gości u nas leutnant Schup, dowódca polskiego Schutzmann[anschaftu]. Po sutej libacji proponuje on wspólny „Einsatz” [akcja].

Na drugi dzień wyrusza od nas jeden pluton. Przychodzimy na dziedziniec koszar naszych kolegów, którzy już czekają na nas. Jest to zbieranina chłopów w różnym wieku w cywilnych ubraniach, fatalnie uzbrojona, pałająca nienawiścią do

Ukraińców za ich zbrodnie. Krótkie przemówienie leutnanta trafia nam od razu do serca. Mówi on: „*Nie strzelajcie ludzi niewinnych, lecz widzicie, że na wsi każdy Ukraińiec jest bandytą, czy kobieta, czy dziecko*”. Toteż pomni jego słów robimy spustoszenie we wsi, każdego chłopca ukr[aińskiego] wyprowadzamy i strzelamy. Jest to wszystko jeszcze niczym w porównaniu z leutn[antem]. Nie wydaje on żadnych rozkazów, tylko na własną rękę strzela Ukraińców, chcąc przewyższyć nas wszystkich.

Wracamy z obfitym łupem, prowadzimy krowy i konie, świnie na furach, które później nasz d[owód]ca cierpliwie oddawał wszystkim Ukraińcom przychodzącym z płaczem i skargą. Ukraińcy wnoszą skargę do Stadthauptmanna [starosta miejskiego]. Wynikiem czego dostajemy ostrą naganę od naszego d[owód]cy.

Należy dodać, że kwaterujemy w zamku i zajmujemy tylko część jego. Jedno skrzydło zajmuje ukr[aińska] uprawa [zarząd] i inne urzędy ukr[aińskie]. Przez cały dzień, mimo że początki maja są dość zimne, słuchają przez otwarte okno, co mówi się u nas na każdej zbiorce. Dowódca nasz nie tylko nie zabrania tego, ale umyślnie strofuje nas głośno, ażeby oni słyszeli. Ustawicznie dostajemy naganę, aby udowodnić, że Niemcy są w porządku, że zabraniają nam tego, a tylko my jesteśmy winni. Po każdym wypadku, po powrocie, na dziedzińcu na oczach Ukr[aińców] urządza rewizję osobistą, czy kto czego nie zabrał z chałup ukr[aińskich]. Wydaje śmieszne zarządzenia.

Zabrania nam — podczas działania — wchodzić do domów Ukr[aińców]; rewizje przeprowadzają sami Niemcy, które wyglądają w ten sposób, że Niemcy wchodzi do chałup, grzecznie pozdrawiają ich słowem „Zdrastwujte” — potem [Niemiec] pyta się „Keine Bandit?”. Na co zasypują go całym potokiem usprawiedliwień i zapewnień o swej niewinności. W takim razie jest już wszystko dobrze, [Niemiec] każe sobie dać mleka, chleba z masłem, a później częstuje dzieci ukr[aińskie] cukierkami (które należą się nam, a których nam nie dają) i wychodzi, żegnając się i żegnany przyjacielsko. W ten sposób [Niemcy] chcą zaskarbić sobie przyjaźń Ukraińców, aby kiedyś oszczędzono tylko ich.

Dalej idiotyczny rozkaz: nie wolno nam strzelać, chyba że otrzymujemy pierwszy ogień. Oczywiście nikt nie stosuje się do tych zarządzeń. Codziennie słyszymy o bestialskich mordach stosowanych na Polakach po okolicznych wsiach. Udzielamy im pierwszej pomocy, to znaczy dzieci, młodzi chłopcy, którzy zdołali uciec, dostają jeść, nocują, następnie odstawiamy je do Łucka, gdzie w dalszym ciągu mają się nimi zaopiekować władze niemieckie. Po każdej takiej wiadomości wyruszamy natychmiast na miejsce zbrodni. Ale działania te są bezcelową stratą czasu. Przyjeżdżamy furmankami w pełnym uzbrojeniu (3 granatniki, 2 ckm-y, 7 lkm-ów), ale dowódca nie ma żadnego planu, względnie unika potyczki, gdyż Niemcy panicznie boją się Ukr[aińców]. Wchodzimy do wsi, podczas gdy Ukr[aińcy] wszyscy uciekają przez pola w przeciwnym kierunku, nam zaś nie wolno za nimi strzelać. Zostają tylko stare baby i dziady, którzy nie mogą uciekać i ze łzami w oczach lamentują, przeklinając swych synów i braci. Kończy się na tym, że rekwirujemy z próżnego domu 2–3 świnie, parę krów i koni i karawaną wracamy z powrotem. Tak wygląda każdy wypad.

Pewnego razu przybiega do nas dziewczynka dwunastoletnia z płaczem, że całe jej rodzeństwo wymordowali i około dwudziestu rodzin polskich błąka się po lasach i polach. Szybko przeprowadzamy alarm i wyruszamy furmankami na miejsce. Jest to wieś Stryłki, 4 km od Klewania, tu oczom naszym przedstawia się

obraz straszny. Zgliszcza dymią się jeszcze. Napad był o drugiej w nocy. O jedenastej rano byliśmy na miejscu. Po przybyciu naszym zaczynają się schodzić ludzie, którzy zdołali uciec. Z lamentem przypadają do swych małych dzieci, które leżą w kałuży krwi. Większość pomordowanych spalona jest wśród gruzów. Znajdujemy też dużo ofiar leżących koło domów. Wszyscy są w okrutny sposób męczeni. Mężczyźni z oderżniętymi genitaliami, kobietom wpychają flaszki, kamienie. Obrzynają palce, języki, nosy, wbijają kołki drewniane w mózg lub szyję. Ustalić liczby pomordowanych nie sposób.

Rekwirujemy ukr[aińskie] furmanki i ewakuujemy na nich resztę Polaków (około 30 ludzi). Po drodze przyłączają się inni Polacy. Kolumna wydłuża się coraz bardziej, niebezpieczeństwo napadu coraz większe. Ukraińcy, którzy na nasz widok wycofali się nie dalej jak 300 metrów w pole, obserwują nas. Widząc olbrzymią kolumnę fur, mają czas wyprzedzić nas i urządzić zasadzkę, tym bardziej że wciąż zatrzymujemy się i zabieramy nowych. Dojeżdżamy do cmentarza, skąd otrzymujemy gwałtowny ogień z trzech stron. Ukraińcy sięją z samych automatów (rosyjskie finki). Szpica pada na miejscu. Wywiązuje się ciężka walka — gdyż znajdujemy się na gołej i równej drodze — która trwa dwie godziny. Wyrzucamy wszystkie rakietki o pomoc, ale bezskutecznie. Z beznadziejnej sytuacji ratuje nas dopiero samolot, który przypadkowo zauważył walkę. Lecz nie mamy już rakiet i nie możemy mu wskazać celu. Toteż samolot ten zaczyna rzucać bomby lekkiego kalibru i ostrzeliwać z karabinu maszynowego na ślepo. Dwie bomby padają na tyły naszego taboru i ranią śmiertelnie dwóch naszych furmanów, cywilów. Samolot ten więcej sieje po nas jak po bandytach, którzy są całkiem ukryci, ale sam prestiż robi swoje i Ukraińcy w bezładzie zaczynają uciekać.*

Teraz mamy i cel otwarty i widzimy doskonale masy czarnych Schutzmannów, naszych sąsiadów, w hełmach i pełnym uzbrojeniu. Skierowujemy gwałtowny ogień na uciekających w bezładzie. Widzimy, że wielu z nich pada, ale nie możemy ścigać ich, mamy pięciu zabitych i dwóch rannych. Nie licząc cywilów, wśród których samolot również zrobił spustoszenie. Wracamy do koszar, po drodze strzelamy do każdej chałupy w okno. Na miejscu dowiadujemy się, że odgłosy walki słychać było doskonale, lecz dowódca kazał wartownikowi wypatrywać na horyzoncie czerwonej rakietki, którą przysłaniały wzgórze i drzewa.

Na drugi dzień z Łucka wyjeżdża dowódca batalionu, opowiadamy mu przebieg walki i błędy dowódcy, który wysłał w zagrożone miejsce pluton ludzi i po zaatakowaniu tych czeka na rakietę, zamiast wysłać pomoc natychmiast.

W dalszym ciągu opowiadamy o naszych spostrzeżeniach, o tym, że wśród bandytów był cały batalion czarnych Schutzmannów z Klewania. W międzyczasie ludzie zeznali, że widzieli czarnych owego dnia, jak wyruszyli w pół godziny po nas w przeciwnym kierunku, gdzie później okrężną drogą stanęli naprzeciw nas. Dalej zeznają ludzie, że bezpośrednio przed napadem widzieli masy Ukraińców z pobliskich wiosek, którzy wchodziłi do koszar Ukraińców i wynosili broń i amunicję stamtąd. Wszystko to opowiadamy dowódcy batalionu; wszczyna dochodzenie w tej sprawie, które — o ile nam wiadomo — nie odniosło żadnych skutków. W walce tej zaginęło sześciu ukrain[skich] Schutzmannów.

Dla usprawiedliwienia ich Ukraińcy urządzili wypad i wysłali meldunki do władz o tym, że natknęli się na bandytów i [w] walce stracili sześciu ludzi. Było to bardzo

* Opis tego starcia w dokumentach UPA, zob. „Karta” 23, s. 55.

niezręczne kłamstwo, bo wszystkim wiadome było, że jeździli oni na wieś po to, by zaopatrywać swych w broń i amunicję i wracali pijani, nigdy nie napotykając na żadną przeszkodę. Byliśmy wszyscy pewni, że po tym wszystkim rozbroją ich i wszystkich do obozu wyślą. Ale myliliśmy się.

Pogrzeb naszych pięciu kolegów był bardzo piękny. Nawet Niemcy dołożyli wszelkich starań, by pogrzeb ten wypadł uroczyście. Moment przed wyruszeniem konduktu był przepiękny. Nasi polegli koledzy leżą na podwyższeniu, toną oni wprost w powodzi kwiatów i wieńców, które ofiarowała wdzięczna bez granic ludność polska. Wokół nich cisną się niezliczone tłumy Polaków, by oddać ostatnią przysługę i hołd tym, którzy zginęli w obronie Polaków. Jedni szlochają głośno, drudzy obrzucają ich kwiatami, inni klęczą w milczeniu, zastygnięci w modlitwie. Wchodzi d[owód]ca kompanii i leutnant d[owód]ca drugiego polskiego Schutzmannschafu, nazwany przez nas Żbikiem. Wypróbowany przyjaciel, który nie raz dawał dowód swej przyjaźni Polakom. Jedyny Niemiec, który poznał się na zdradzie i podłości Ukraińców, lecz nie bał się tego wyjawiać na każdym kroku i kosił niezmordowanie Ukraińców, nie zwracając uwagi na protesty swych zwierzchników.

Przemawia nasz d[owód]ca kompanii. Przemawia on jak zwykle przemawia d[owód]ca w takim momencie — o żalu za kolegami, którzy byli dobrymi żołnierzami. W dalszym ciągu powiada on: „*Zginęli oni z rąk ludzi, którzy zostali zbalamuceni agitacją żydo-bolszewicką i naszym zadaniem jest nie walczyć z tym właśnie zbalamuconym narodem, lecz właśnie z tymi podżegaczami bolszewickimi*”. Z tym idiotyzmem nie mógł się pogodzić nawet kolega jego, leutnant Żbik, który występuje z energicznym protestem i zarzuca mu wprost kłam. Wyprowadza spośród swej świty tłumacza, który jota w jotę tłumaczy: „*Tu nie wchodzi w grę żadna bolszewicka robota. Tu sprawcami są tylko bandyci, ukr[aińscy] nacjonałiści, z którymi właśnie będziemy walczyć i śmierć naszych braci pomnożymy z nawiązką*”. Dalej stawia zarzut d[owód]cy naszemu, który również powiedział, że znajdujemy się na Ukrainie i naszym obowiązkiem jest podnieść tutaj kulturę, która została wypaczona bolszewickim reżimem. Twierdzi on: „*Tu nie ma żadnej ukr[aińskiej] kultury. Tu jest tylko odwieczna kultura polska, kultura zachodnia, a Ukraińcy byli i są tu chwastem zdolnym tylko do bandyctwa*”. Kończy swą mowę propozycją uczczenia pamięci poległych trzyminutowym milczeniem. Dowódca nasz, zmieszany, wydaje dalsze komendy i pogrzeb odbywa się bez żadnych specjalnych zajść.

Wkrótce nastąpił wypadek, który nas całkowicie załamał. Dostaliśmy wiadomość od Polaków, że dróżnik kolejowy, Ukrainiec, ma u siebie w domu ładunki wybuchowe, którymi wysadza pociągi. Przeprowadziliśmy u niego rewizję, ale nie znaleźliśmy nic. Poczęliśmy go bić tak długo, dopokąd się nie przyznał, [że] ładunki te ma zakopane obok swej budki. Zażądaliśmy, żeby prowadził nas tam.

Droga wypadła nam obok szkoły, gdzie koszarował ukraiński Schutzmannschaft. Tuż obok tej szkoły przybiegli do nas Polacy skarżąc się, że ukr[aińscy] Schutzmanni strzelali z podwórza na pobliski cmentarz, gdzie akuratnie chowali kilku pomordowanych Polaków. Było nas siedmiu i ósmy — dowódca ekspedycji, Niemiec, który wziął czterech i poszedł sprawdzić tę rzecz do Ukraińców. Wówczas to Schutzmanni ukr[aińscy] dali znak naszemu więźniowi, żeby uciekał do nich, gdyż dzieliło go od nich 30 kroków. Podeszli oni bliżej do nas, tworząc w ten sposób luźny szpaler i w pewnym momencie więzień, którego eskortowaliśmy, począł uciekać, na co jeden z nas momentalnie, w myśl przepisów, zmierzył

się i wystrzelił za nim, raniąc go w nogę. Widząc, że ucieka on w dalszym ciągu, podbiegł za nim i trafił go drugi raz. Widząc, że dalej ucieka, trafia go śmiertelnie już na podwórzu ukr[aińskim].

Wówczas Ukraińcy rzucili się na nas wszystkich, rozbroili nas z broni i z przekleństwem zaczęli nas okładać kolbami po głowach i po plecach, gdzie popadło. Pokrwawionych i pobitych wtrącili nas do piwnicy, gdzie wkrótce przyprowadzili resztę — czterech naszych wraz z Niemcem, i zaczęli wszystkich nas bić z dziką furią, krzycząc: „*Wy przeklęte Lachy, wy będziecie mordować naszych niewinnych braci? My was wszystkich wyrzniemy. Wyście tu przyjechali na Ukrainę i myślicie, że wyjedziecie do Polski, na was już wyrok podpisany*” — i jeden z nich wyjął nóż rzeźnicki i targnął się na jednego z nas, na co nasz Niemiec zareagował stając w naszej obronie. Ale i nad nim nie zastanawiano się, pobito go do krwi łańcuchem. Na to wszedł ich dowódca i rzekomo kazał im zaprzestać bić nas i wyszedł, towarzysz zaś jego, oficer, został i odezwał się: „*Nie bijcie tych przeklętych Lachów, my ich będziemy żywcem przypiekać razem z ich Niemcami*” — i wyszedł. Rozbestwieni Ukraińcy dalej szaleli, plując nam w twarz, bijąc i kopiąc nas nie-ludzko.

Tymczasem [ci], którzy przechodzili drogą i widzieli początek tego zajścia donieśli o wszystkim naszym. Dowódca nasz z trzema podoficerami niemieckimi wyruszył do nich, żądając natychmiastowego wypuszczenia nas. Na co ukr[aiński] dowódca odpowiedział, że on tutaj jest dowódcą i jeżeli będzie uważał za stosowne, to wypuści nas, lub jeżeli będziemy winni, to karze wszystkich wystrzelać i nikt tu nie ma nic do gadania.

Dowódca nasz wyszedł nic nie wskórawszy i zatelefonował do Łucka do dowódcy batalionu, donosząc o całym wypadku. Zaś ukr[aiński] zaalarmował cały swój batalion. Rozkazał wszystkim iść na posterunki, następnie nastawił granatnik na nasze koszary, zaś ciężkie karabiny maszynowe umieścił w oknach na I piętrze, mając w ten sposób obstrzał, w razie gdyby kompania nasza zaatakowała ich w celu odbicia jeńców.

Do tego jednak nie doszło, gdyż za 15 minut przyjechały z Łucka trzy pancerne samochody z oficerami SS-D.S. i naszym dowódcą batal[ionu]. Dow[ód]ca batal[ionu] hptm. Weidlich rozwścieczony wpadł do pokoju dowódcy ukr[aińskiego] i przykładając mu pistolet do łba, począł rękoma bić go po twarzy. Zaraz też wypuszczono nas z piwnicy pokrwawionych i pobitych. W dalszym ciągu dał znać telefonicznie Generaloberstowi SS u[nd] Polizei w Równem, który natychmiast przyleciał samolotem do Klewania. Zlądował na pobliskim błoniu i najpierw poszedł do ukr[aińskiego] batalionu, gdzie zabawił przeszło godzinę. Charakterystyczne było powitanie nasze generała.

Ustawiono nas na podwórzu w szeregu i przećwiczono okrzyk powitalny. Miał on brzmieć na powitanie generała: „Heil Kompanie! Heil General!”. Długo czekaliśmy na generała, w końcu zjawił się, dowódca kompan[i] dał komendę: „*Bacność, w prawo patrz!*”, następnie meldował: „*Panie generale, melduję kompanię z 135 ludźmi, w tym 22 polskich podoficerów i 15 niem[ieckich] podoficerów*”. Odpowiedź brzmiała: „*Dank, wo sind die deutsche Unterführer?*”. „*Hier!*” — krzyknął najstarszy z nich, gdyż stali oni na prawym skrzydle; i podnosząc rękę [generał] powitał ich: „*Heil Hitler!*”. Z nami nie przywitał się w ogóle, kazał dowódcy kompanii dać „rozejść się”. Następnie podał rękę dowódcy kompanii, kazać wprowadzić się na konferencję do kancelarii. Konferencja ta trwała dokładnie siedem

minut, co potem potwierdzili niem[ieccy] podoficerowie, którzy również byli niezadowoleni obejściem się generała. Co powiedział generał, nie wiedzieliśmy.

W każdym razie po odejściu jego kazali nam zaraz pakować wszystko i na drugi dzień wyjechaliśmy z Klewania samochodami do Torczyna, 23 km od Klewania. Tu na samym wstępie dowódca kompanii ma przemówienie: „*Dostajecie pomieszczenie w miasteczku, gdzie większość jest Polaków. Nie jest tu również tak niebezpiecznie, bo w pobliżu stoi kompania niem[ieckiego] Wehrmachtu, a więc pilnujcie się i nie zróbcie znowuż jakiego świństwa, żeby was znowu stąd nie wyrzucili*”.

Słowa jego wywarły na nas przykre wrażenie, pocieszaliśmy się jednak myślą, że wkrótce powróci z urlopu oberleutnant — nasz stary dowódca komp[anii], który wyjechał na urlop jeszcze w Rosji.

Jeszcze parę wypadów na wsie ukr[aińskie], gdzie nie napotykamy nigdy na bandytów. Włóczyliśmy się bezcelowo po wsiach, widząc, że za każdym razem bandyci uciekają ze wsi na nasz widok w przeciwnym kierunku i mimo to dowódca nasz nigdy nie stara się okrążyć wsi — mimo że ma pewne meldunki, że w danej wsi znajdują się bandyci. We wsiach, które przechodzimy, widzimy stanowiska w ziemi na karabiny maszynowe, szyny lub koła samochodowe umieszczone na drzewie, którymi alarmują wieś na nasze przybycie. W każdej wsi widzimy kopce z krzyżami, na których widnieją napisy: „Pamięci bohaterów poległych w walce o samoistną Ukrainę”.*

Razu jednego chcieliśmy zwalić taki kopiec, w czym przeszkodził nam nasz d[owód]ca twierdząc, że jest to ukr[aiński] nacjonalny pomnik i nie wolno im tego niszczyć.

W końcu przyjeżdża nasz stary dowódca, oberleutnant, którego przywitaliśmy bardzo szczerze. Opowiadamy mu o wszystkich dziwactwach jego poprzednika, gdyż był z nami w dość przyjacielskiej komitywie. Zapewnia on nas, że wszystko się zmieni.

W Torczynie na jednej z ulic jest mały szyldzik „Ukrainische Schutzmannschaft”, a w domu tym jest trzech Schutzmannów. Dowiadujemy się, że na krótko przed naszym przybyciem uciekła cała kompania tych Schutzmannów do lasu i tylko trzech powróciło na odezwę niemiecką. Do końca naszego pobytu nie powrócił ani jeden.

W czerwcu 1943 r. wyjeżdża cały batalion nasz na nowe miejsce. Przyjeżdżamy do Janowej Doliny, gdzie zakwaterujemy się wraz ze sztabem batalionowym. Zmieniamy litewski Schutzmannschaft, który — jak później dowiedzieliśmy się — handlował z Ukraińcami bronią za wódkę.

Na odcinku Janowa Dolina – Stepań były dwa bataliony litewskie. Na skutek ich meldunków, że odcinek ten jest całkowicie oczyszczony z bandytów, zajmuje nasza kompania Stützpunkt w Janowej Dolinie, a III kompania w Stepaniu, zaś między Janową Dol[iną] a Stepaniem Stützpunkt w Japołoci zostaje zniesiony. W ten sposób dostajemy się w dobrze przygotowane centrum bandy ukr[aińskiej].

Janowa Dolina jest całkiem spalona, zostały tu trzy uliczki całe. Według relacji Polaków, w Wielkanoc roku 1943 Ukraińcy napadli na miasteczko to, które spalili całkowicie, zaś ludność wymordowali. Zginęło tu przeszło półtora tysiąca Polaków.* Ukr[aińcy] operowali tam wówczas wszelką bronią ciężką i lekką, nawet

* Zwyczaj sypania przez Ukraińców symbolicznych mogił sięga czasów Rusi Kijowskiej i Kozaczyzny. W okresie międzywojennym i w czasie wojny często sypano mogiły na pamiątkę odrodzenia się państwa ukraińskiego w 1918 roku.

granatnikami. W takie to miejsce dostaliśmy się, rzekomo zupełnie oczyszczone. Podczas czteromiesięcznego pobytu w [tej] miejscowości straciliśmy 48 ludzi — dzięki szaleństwu naszego dowódcy batal[ionu], który wysyłał pluton ludzi na patrol. Patrol ten wpadał w ciężką zasadzkę, z którego [plutonu] powracało sześciu ludzi.

Pewnego razu dostaliśmy ważny rozkaz nawiązania łączności z odciętą III kompanią w Stepaniu. Wyruszyliśmy na dwóch samochodach w 30 ludzi, w tym 20 niem[ieckich] podoficerów i 10 nas. W drodze natrafiliśmy na rozebrany most, wskutek czego musieliśmy wrócić. W drodze powrotnej natrafiliśmy w Japołoci na miny, które eksplodowały przed samochodami. Dostaliśmy się w zasadzkę z trzech stron. Z zasadzki tej wyszło nas sześciu, w tym trzech rannych. Pomoc, która do nas dotarła, była już całkiem opóźniona. Pozbierała ona tylko trupy, które były odarte z mundurów i zmasakrowane. Każdy był ranny i mordowany później — mieli oni nosy poodrzynane, palce, które później do ust im wpychano — lub żywcem w płonące auta rzucony. Z zasadzki tej uszedł cudem z nami nasz dow[ódca] komp[anii], który chcąc zatrzeć wrażenie fatalnej porażki, urządził w kompanii pijatykę, w trakcie której wygłosił do nas mowę na temat naszej porażki. Zakończył on przyrzeczeniem, że od dzisiejszego dnia nie znamy litości dla Ukraińców. Obojętne, czy to będzie kobieta, czy dziecko. Przyrzekamy mu również to. Od dnia dzisiejszego krwawo znaczymy swe ślady.

Wieś Połudźne zostaje okrażona i spalona, ludność wystrzelana. Złazno — spalona do jednej chałupy. Wieś Stawki, na pół spalona przez nas, zdobywa się na kontratak i zmusza całą naszą kompanię do wycofania się. Wieś Japołoc, miejsce trzykrotnej zasadzki, spalona, kobiety, dzieci wystrzelane.

Wypadamy z lasu znienacka na wsie i robimy gruntowne czystki. Silne ognisko bandyckie, wieś Hołowin, również po zasadzce, po części spalona. Palimy w każdej wsi w pierwszym rzędzie młyny i cerkwie, tak że wkrótce w promieniu kilkunastu kilometrów nie ma nigdzie młyna, ani cerkwi, ani popa, jak również niszczymy kopce-pomniki.

Jednak w końcu Ukraińcy dochodzą do głosu. Skupiają swe siły i paralizują nasze ruchy. Kompania staje [się] za małą jednostką do operowania. Dowództwo batalionu przenosi swą siedzibę do Kostopola. Odtąd noc w noc napadają Ukraińcy, ostrzeliwując silnie nasze baraki. Walczą oni tylko maszynowymi pistoletami. Przeżywamy istne piekło. Zdobywamy się tylko na sporadyczne wypadki z lasu na pobliskie wsie. Urządzamy gwałtowną strzelaninę, ładujemy parę krów lub świń na furę i wycofujemy się. Tracimy łączność z Kostopolem. Tor na całym odcinku [...]** grubymi drzewami. [...] Koszary nasze są jednak [...] dokoła palisadą, bunkrami i gęstymi [...] przyjeżdża do nas komp[ania] niemiecka zmotoryzowana [...] Z ciężkim trudem dostają się do nas auta. Zaczynamy budować lotnisko. Dalej tracimy elektrownię, a wraz z nią i wodę, której nie ma nigdzie. Jedyna pompa wodociągowa zaopatruje nas w wodę tylko do kuchni. Wynikiem tego wszystkiego są wszyszy i brud.

Kompania III zmuszona jest do wycofania się ze Stepania. Zostajemy sami bez szans istnienia. Dowództwo jednak nie chce się zgodzić na wycofanie nas stąd.

* W Janowej Dolinie w nocy 21/22 kwietnia 1943 oddziały UPA zabiły ok. 600 Polaków. Według niepotwierdzonej wersji, UPA pomagała jedna z kompanii pomocniczych policji litewskiej wspomnianych w relacji. Miało to się jakoby przyczynić do wycofania przez Niemców oddziałów litewskich z Wołynia.

** Następują ubytki w tekście maszynopisu z powodu uszkodzenia oryginału. (Red.)

Dostajemy większą ilość broni ciężkiej, granatniki i działko. Conocne napady wciąż zabierają nam po jednym człowieku. Kompania, zdziesiątkowana, dostaje rekrutów na uzupełnienie — Wołyniaków, szkolimy ich u siebie. Wraz z nimi przychodzą do nas tabory konne. I po czteromiesięcznym pobycie w Janowej Dolinie wyjeżdżamy, uprzednio spaliwszy most na Horyniu i koszary swe. Wyjeżdżamy do Derażnego na pomoc II kompanii, która — podobnie jak my w Janowej Dolinie — jest atakowana co noc.

Podczas pierwszego ataku nocnego za naszej bytności dowódca nasz wysłał dwie grupy na miasto, jako tzw. Ochtostrupp, które po ostrzelaniu zapalają na końcu miasteczka osadę ukr[aińską]. 29 chałup wraz ze stodołami zostało spalonych i ośmiu zabitych. Odtąd napady już nie powtarzają się. Do końca panuje spokój.

Po dwóch miesiącach wyjeżdżamy z Derażnego, ponieważ II kompania nawiązała łączność z polskimi oddziałami dywersyjnymi, które operują wraz z rosyjską partyzantką. Usiłują oni przyciągnąć II kompanię do siebie. Wyjeżdżamy pierwsi i docieramy do Kostopola. Na drugi dzień wyjeżdża II kompania, w połowie drogi natrafia na partyzantkę rosyjską, która chce bez strzału wziąć całą kompanię do siebie. Kompania jest przekonana, że ma do czynienia z Ukraińcami i zasypuje ich kulami. Bolszewicy wzywają do zaprzestania ognia, na co odpowiadają jeszcze gęstsze salwy ognia. Wówczas oto bolszewicy przechodzą do ataku i rozbijają w puch całą kompanię. Połowa kompanii pada na miejscu, tabory wraz z całym uzbrojeniem wpadają w ręce bolszewików. Kompletne wyposażenie, mundury, tornistry, buty, wszystko wpada w ich ręce.

Na drugi dzień wyruszają wszystkie siły na poszukiwanie zguby. Około trzech tysięcy wojska wyrusza, w wyniku czego przywożą tylko trupy, uznając, że bezcelowym jest szukanie wiatru w polu.

W Kostopolu zostaje cały batalion. Kontynuujemy w dalszym ciągu myśliwskie wypady. O 3 km od Kostopola, we wsi Jankiewicze rozbita zostaje kompania niemiecka i również traci wszystkie uprzęż i tabory. Odtąd operujemy całym batalionem przy współudziale SS i Schutzpol[izei].

Niemcy już też poznali się na Ukraińcach i nie zastanawiają się wiele nad zastrzeleniem Ukraińca.

W październiku 1943 r. kompania nasza bierze udział w wielkim kotle, jaki tworzą w rejonie Sarny–Czartorysk–Kołki. W akcji tej bierze udział 6000 policji, która przyjechała ze wszystkich stron, oraz bombowce, które bombardują za porządkiem wsie i lasy. Zadaniem naszym jest niszczyć rozproszoną ludność ukraińską, idąc szeroką tyralierą. Nie natrafiamy na żaden opór. Aczkolwiek zostaje rozbita komp[ania] niemiecka Schutzpol[izei], która natrafia na obóz partyzantki rosyjskiej. Traci ona tabory wraz z radiostacją ruchomą, działkiem i bronią ciężką.

Wracamy do Kostopola po całomiesięcznej bezcelowej tułaczce. Do świąt już mamy jaki taki odpoczynek. Po świętach jeden doskonale udany wypad na wieś Berestowiec, gdzie chwytamy przeszło stu bandytów i [...] aż do czasu, kiedy jak grom spadają bolszewicy.

Dnia 10 stycznia 1944 r. wyjeżdżamy ze wszystkim do Janowej Doliny, ażeby zbudować nowy most, który spaliliśmy kiedyś. Po zbudowaniu mostu wracamy do Kostopola ładować się na pociąg. W Kostopolu zastajemy już bolszewików. W mieście panika i popłoch. Niemcy zostawiają wszystko i uciekają. Przyłączamy się i my do kolumny i maszerujemy w kierunku Janowej Doliny przez Kiwerce, Ołykę do Klewania. W Klewaniu dostajemy rozkaz cofnięcia się z powrotem pod

Równe. Dostajemy się do Aleksandrii, gdzie batalion nasz zostaje rozbity przez armię rosyjską. Powiedziano nam, że z naszej lewej i prawej strony idą z nami pancerne oddziały SS. W istocie byliśmy [sami] na odcinku stu kilometrów. Można było jedynie zauważyć bezładną ucieczkę Niemców i całkowity brak oporu z ich strony.

Po rozbiciu batalion nasz rozsypał się, część uciekła, a część skompletowano i w liczbie 150 [ludzi] wycofano do Lwowa, skąd wyjechali dalej do Niemiec. Według pogłosek znajdują się oni prawdopodobnie teraz we Francji.

Przez cały okres naszej służby w Schutzmannschaft byliśmy zespoleni ze sobą i dążyliśmy do swych celów. Już to planowaliśmy ucieczkę lub połączenie się z jakimiś oddziałami polskimi, a w każdym razie nie daliśmy się uczynić powolnymi Niemcom. I kiedy użyli nas do linii frontowej, całymi grupami wycofywaliśmy się, chociaż Niemcy kilkakrotnie zbierali nas i nazad do linii transportowali. Przeszkadzali nam w tym zdrajcy, którzy zaprzędali się Niemcom.

W pierwszym rzędzie szpieg-donosiciel ordynans dowódcy komp[anii] Sprenger Józef, unterkorporal, volksdeutscher z Częstochowy, który donosił o każdym słowie Niemcom. Był to jawny szpieg, który się nie krył z tym, lecz był dumnym z tego i uważał się za Niemca, wypierając się polskości.

Dalej zdrajca, polski szef kompanii Konieczny Jan, kompaniefeldwebel, znienawidzony tyran, gorliwszy wykonawca rygorów niem[ieckich] niż sami Niemcy. Na co Niemcy sami patrzyli przez palce, on sam żądał ukarania. Po naszej stronie rzekomo idący, w rozmowie przeklinał i psioczył [na] Niemców — po to, by potem donieść o nastrojach naszych Niemcom. Każdorazowo naszym przydziałem wódki i cukierków dzielił się z Niemcami, na siebie biorąc odpowiedzialność za to, gdyż był on pośrednikiem w takich sprawach między nami a Niemcami. Kiedy żądaliśmy od niego, żeby interweniował w tej sprawie u Niemców, radził nam siedzieć cicho i nie dopominać się o nic. „*Gdyż wiecie — mawiał — że jesteście Polakami i musicie być zadowoleni, co wam dają, gdyż w przeciwnym razie możecie znaleźć się wszyscy w obozie.*” Do Niemców zaś mówił, żeby nie bali się nic, że on to wszystko załatwi, a my nie pójdziemy do dowódcy na skargę, gdyż żaden z nas nie umie tej wódki pić. Nam dać tylko samogonu. To samo z papierosami — że wolimy palić liście, a papierosów nigdy nie paliliśmy takich.

Dalej Flisiński Józef, kompaniefeldwebel, korektor listów, który wtrącił kilkunastu chłopaków do więzienia za pisanie nieodpowiednich rzeczy w listach. Mógł on całkiem śmiało zniszczyć te listy, gdyż miał całkiem wolną rękę. Nieodstępny towarzysz Koniecznego, wykonawca jego pomysłów, obecnie znajduje się we Lwowie w szpitalu na Snopkowskiej ze skrzywą nogą.

Trzeci z tej samej paczki — vicefeldwebel Siniacki Ludwik z Baranowa Sandomierskiego: donosiciel pragnący zrobić karierę w Schutzman[nschafcie]. W Rosji zadencjonował czterech kolegów, którzy rozmawiali z partyzantami, za co zostali rozstrzelani. Obecnie zameldował Niemcom o każdym, który zdezerterował z frontu. Będąc dowódcą taborów, spotkał kilka grup na dworcu w Dubnie, które uciekały do Lwowa — o każdym doniósł Niemcom. Wraz z nim brat jego Siniacki [sic!] Jan, unterkorp[oral], ostry rzekomo przeciwnik Niemców; donosi swemu bratu o wszystkim, o każdym słowie, który znów dalej donosi Niemcom.

Lwów, marzec 1944

*Podali do druku
Grzegorz Motyka i Marek Wierzbicki*

Lato 1943

BARBARA ODNOUS

Od 1991 roku trwa śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych na Wołyniu w latach 1939–45. Prowadzone jest przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Lublinie. Akta sprawy liczą obecnie 57 tomów (po około 200 kart każdy) i dokumentów stale przybywa: protokoły z przesłuchań świadków, relacje i wspomnienia (również drukowane), listy osób prywatnych, raporty organizacji podziemnych, także nieliczne zdjęcia. Przedstawiamy wybór z całego materiału zgromadzonego w Instytucie Pamięci Narodowej w Lublinie.

Eskalacja konfliktu na Wołyniu miała miejsce latem 1943, dlatego też oparliśmy się na tekstach z tego okresu, skupiając się na zeznaniach i relacjach bezpośrednich uczestników wydarzeń. Z zebranych opowieści wyłania się obraz nie tylko tych sąsiadów Ukraińców, którzy okazali się wrogami, realizując zaplanowaną akcję ludobójstwa, ale i tych, dzięki którym wielu Polaków przeżyło. Nie możemy jednak ujawnić ich tożsamości. Korzystając z akt prokuratorskich, zobowiązaliśmy się do niepodawania danych pozwalających na identyfikację nie tylko sprawców, ale też ofiar i świadków. Dotyczy to także



Dermań (pow. zdołbunowski), 1939. Licealiści z Wołynia. Fot. portal internetowy „Wołyn naszych przodków”

3 lipca 1943 (sobota)

Piotr W. (ur. 1928):

Między Polakami i Ukraińcami w kolonii Górnej nie było nieporozumień, tym bardziej zatargów [...]. Ukraińcy jako prawosławni chodzili do cerkwi w pobliskim Hubkowie, natomiast Polacy do kościoła w Ludwipolu, oddalonego o około siedem kilometrów. Idąc do Ludwipola, przechodziliśmy przez czysto ukraiński Hubków, ale nigdy nie spotkaliśmy się tam z oznakami wrogości czy zaczepkami. [...]

Było już słyhać o mordowaniu polskich wiosek na północny zachód od Ludwipola. Obawialiśmy się ataku i na noc kryliśmy się po polach. 3 lipca również zamierzaliśmy iść spać w pole. [...] Wszyscy byliśmy gotowi, chcieliśmy jeszcze tylko zjeść kolację (stała na stole) i czekaliśmy na brata Romualda, który lada moment miał przygonić krowy.

Niemalże równo z zachodem słońca podniósł się krzyk i rozległy strzały. Matka podbiegła do okna, krzyknęła, że są już banderowcy i trzeba uciekać. Wskoczyli z ojcem przez okno do ogródka kwiatowego i zaczęli uciekać drogą między zbożami, pod górkę. Matka nie zdążyła zabrać mojej młodszej siostry, czego ja początkowo nie spostrzegłem.

Wskoczyłem na podwórko, a tam było pełno Ukraińców. Biegali, krzyczeli, podpalali zabudowania, wynosili z obejść mienie. Prawdopodobnie wzięli mnie za Ukraińca, gdyż miałem na sobie kurtkę z pasem, podobną do wojskowej, a oni ubierali się podobnie. Kręciłem się po podwórku, szukając kryjówki i zobaczyłem, jak Ukrainiec położył się na drodze i zaczął strzelać w kierunku uciekających rodziców. [...] Matka upadła, pomyślałem, że została trafiona i nie żyje, ojciec pobiegł dalej. Zauważyłem też krowy, zatem gdzieś w pobliżu musiał być brat.

W tym momencie podbiegła do mnie pięcioletnia siostra, złapała mnie za nogę i zaczęła płakać. Nakazałem jej milczeć i skoczyliśmy do pobliskiego ogródka warzywnego, gdzie położyliśmy się w wysokiej fasoli. Jednak któryś z myszkujejących po obejściu lub mieszkaniu Ukraińców musiał coś zauważyć, gdyż dwóch lub trzech przybiegło do ogródka i odkryli nas. Twierdzili, że jestem Polakiem. Ja zaprzeczałem, na dowód zacząłem modlić się jak prawosławny. Jeden z Ukraińców uderzył mnie silnie kolbą karabinu w klatkę piersiową, straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, zmierzch przeszedł już w noc. Wszędzie pełno było gryzącego dymu. Zauważyłem, że brat ucieka z ogródka. Byłem mocno pobity i pokrwawiony, nie miałem siły, ale zarzuciłem siostrę na plecy i pobiegłem za bratem, w kierunku pobliskiego stawu dla gęsi i rozciągającego się za nim lasu. [...] Co chwila przystawałem dla odpoczynku lub przewracałem się pod ciężarem siostry. Dobiegłem do lasu, tam znowu się przewróciłem, zabrakło mi sił. [...]

Zamiast jednak ukryć się w tym lesie, przebiegłem go. Kiedy wyskoczyłem na szeroki szutrowy trakt na Ludwipol, podjechał Ukrainiec na koniu i czymś twardym uderzył mnie w głowę. Upadłem, a Ukrainiec pojechał dalej. Resztką sił zerwałem się i dobiegłem do lasu po drugiej stronie traktu. Tuż za mną przybiegła siostra, której już nie miałem siły dźwigać. Ukryliśmy się pod pnem zwałonego drzewa. Po pewnym czasie teren wokół zaczęli penetrować Ukraińcy. Nie znaleźli nas jednak i odeszli. Po chwili straciłem świadomość.

Ocknąłem się, kiedy już było widno. Siostra leżała obok i, co dziwne, nie płakała. Postanowiłem pójść do wioski Hurby, odległej o parę kilometrów od Górnej, do domu siostry ojca [...]. Nikogo tam nie zastałem. Mieszkańcy, słysząc odgłosy napadu na naszą kolonię, puciekali w las. Wziąłem chleb i mleko i zamierzałem wrócić do siostry, którą wcześniej ukryłem w lesie. Wtedy zawołał mnie brat, leżał



Mapa przygotowana według podziału administracyjnego z 1939 roku

w sianie w stodole. Okazało się, że noc przesiedział na drzewie w lesie. Brat powiedział, że widzi jakieś postacie w pobliskim domu. Podczołgałem się w zbożu w tamtym kierunku i spostrzegłem kilku mężczyzn z naszej kolonii. Powiedzieli mi, że matka żyje, natomiast ojciec został zabity. Furmankami zawieziono nas do Huty Starej, gdzie stacjonowały oddziały polskiej samoobrony.

Kolonia Górna, gmina Ludwipol, powiat Kostopol

Regina F. (ur. 1929):

Wieczorem zamierzaliśmy zjeść kolację, a potem wyjść w okoliczne pola [...]. Poszłam do naszego ogrodu (500–700 metrów od domu) urwać warzyw na kolację. Ogród znajdował się na górcie, skąd roztaczał się widok na pobliskie gospodarstwa. W pewnej chwili usłyszałam krzyki i strzały. Wyprostowałam się i znieruchomiałam, mimo że kule świsnęły obok mnie. W dole rozgrywał się koszmar. Chmara Ukraińców podpałała domy i zabudowania gospodarcze, mordowała ludzi. [...]

Po chwili doszłam do siebie i postanowiłam uciekać. Zauważyłam stryjskiego Jana W., mieszkającego w sąsiedztwie. Biegł w kierunku górki, na której stałam i wołał syna. Razem postanowiliśmy uciekać w kierunku odległej o kilometr rzeki Słucz. Kiedy przeprawialiśmy się już przez rzekę i byliśmy mniej więcej w połowie jej nurtu, zobaczyłam, że na drugim brzegu kłęczy Ukraińiec i mierzy do nas z karabinu. Zawróciliśmy, a on strzelał do nas, ale nie trafił. Postanowiliśmy ukryć się w pobliskich jarach.

Kiedy dochodziliśmy do jarów, wyszedł z nich inny Ukraińiec z wymierzonym w nas karabinem. [...] Widząc wycelowaną lufę, uskokczyłam w bok i ukryłam się

w skałkach w pobliżu jaru. Ukraińiec strzelił i zabił stryja. Następnie przez kilka minut chodził wokół skałek, chcąc mnie odnaleźć. Potem odszedł, ale ja siedziałam w załomie aż do południa następnego dnia, kiedy wyszłam i pobiegłam do swojej wioski.

Kol. Górna

11 lipca 1943 (niedziela)

Alina D.:

Tego wieczoru mama szyla mi sukienkę i z tego powodu nie poszła spać do kryjówki, co stale czyniono ze względu na nocne napady band UPA i urządzone przez Niemców łapanki na roboty do Niemiec. Gdy skończyła szyc, powiedziała, że na pewno banda dziś nie przyjdzie i położyła się spać ze mną. Los okazał się jednak nieubłagany i mordercy spod znaku OUN-UPA o północy załomotali do drzwi. Kiedy im otworzył dziadek Jan R., od razu zastrzelili go w progu mieszkania.

Mama, słysząc strzał i jęk dziadka, wyskoczyła z łóżka i zaczęła krzyczeć. Ja również zerwałam się z łóżka, podbiegłam do mamy i trzymałam się jej spódnicy. Nagle obie upadłyśmy na podłogę, gdyż mama została trafiona kulą przez wybite okno. Kiedy ucichły strzały, zaczęłam wołać mamę i szarpać ją. Wtedy usłyszałam głos babci Marii R.: „*Nie wołaj mamusi, mamusia jest zabita! Ciocia Danusia też jest zabita, popatrz!*”. Był już ranek. Rozejrzałam się, zobaczyłam najmłodszą siostrę mojej mamy całą we krwi, leżącą obok warsztatu tkackiego, a babcię siedzącą na łóżku, również zakrwawioną. Babcia powiedziała: „*Idź, Alinko, do wujostwa, tylko ostrożnie i powiedz im, co się u nas stało*”.

Wybiegłam z mieszkania i widząc, że nikogo nie ma, pobiegłam do wujostwa, na drugą stronę ulicy. Wujek M. leżał zabity w kuchni, ciocia Domicela martwa, siedziała oparta o kufer i ścianę, pokłuta bagnietami lub nożem. Jak się później dowiedziałam, ciocia spała ukryta w stodole, ale nad ranem wróciła do domu, sądząc, że nie będzie napadu i trafiła na morderców. Po obejrzeniu domu wujostwa, pobiegłam do P. Tam zobaczyłam młodą synową P. z niemowlęciem na ręku, oboje byli martwi. W pobliżu leżał jej martwy teść.

Wróciłam do babci, opowiedziałam wszystko, co widziałam. Na jej prośbę przyniosłam z drugiego pokoju firanekę, którą babcia owinęła swoje rany. Wzięłam poduszkę i blachę z upieczonymi poprzedniego dnia drożdżowymi bułkami i poszłyśmy ukryć się w zbożu za sadem.

Po pewnym czasie przyszli do nas dwaj synowie babci, którzy spali na strychu nad stajnią, piętnastoletni Florek i nieco starszy od niego Czesiek. Babcia kazała im przynieść kożuch, aby mogli leżeć na ziemi. Pobiegli w kierunku domu, a za chwilę przebiegli obok nas, ścigani przez Ukraińców na koniach. Kiedy babcia to zobaczyła, powiedziała do mnie: „*Uciekaj Alinko, i to szybko, biegnij do cioci Jadzi*”. Ciocia mieszkła na kolonii Bogudzięka. Zdażyłam tylko zapytać: „*Babciu, a ty, co z tobą?*”. Zawahałam się, babcia powiedziała: „*Uciekaj, ja tu zostanę z twoją mamą i dziadkiem*” i upadła na poduszkę.

Pobiegłam miedzą w innym kierunku niż moi wujkowie. Dobiegając do Bogudzięki musiałam przejść w pobliżu ukraińskiego gospodarstwa. Stała tam grupa kobiet i dzieci. Patrzyły na drogę, którą jechały wozy ze zrabowanym dobytkiem, a banda UPA pędziła stado krów.

Niezauważona weszłam do domu cioci. Nie było w nim nikogo. Pobiegłam dalej do nie ukończonego domu cioci Wandy J. Tam zobaczyłam teścia cioci całego we

krwi. Myślałam, że jest zabity, ale, jak się później okazało, był tylko ranny. Wystraszyłam się i pobiegłam do babci W. na Witoldówkę. [...]

Gdy biegłam przez pola, spostrzegłam mnie wujek Czesiek, siedzący na czatach na polnym dębie. [...] W zbożach siedziała grupa Polaków, ocalałych z pogromu. Wśród nich również ciocia Wanda J. z dziećmi.

W nocy wujek Czesiek poszedł pochować babcię, którą dobili Ukraińcy, i wujka Florka, zastrzelonego podczas ucieczki. Pogrzebał ich pod polną gruszą. [...] Dziadek, moja mama Aniela W. i ciocia Danusia R. nie zostali pochowani i nikt nie wie, gdzie spoczywają ich zwłoki.

Wujek Czesiek zdobył konia i wóz, na który załadowała się nasza gromadka i w strugach deszczu, polnymi drogami i przez lasy ruszyliśmy w stronę Sokala.

Gurów, gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz

Natalia O. (ur. 1936):

10 lipca w sobotę z ojcem i siostrą Alą byliśmy [...] we wsi Romanówka. Kiedy wracaliśmy furmanką, minęliśmy na drodze wóz z bandytami ukraińskimi. [...] Ojciec w obawie, że mogą go zabrać na tzw. podwodę, poszedł na noc w zboże. [...]

Kiedy 11 lipca o trzeciej nad ranem obudziłam się, w mieszkaniu znajdowało się sześciu bandytów ukraińskich. Wszystko było rozwalone, rzeczy powyrzucane na środek pokoju. Ukraińcy bez przerwy krzyczeli: „*Gdzie jest gospodarz?*”. Bili przy tym mamę, domagając się odpowiedzi. Mama uklękała i mówiła, że mąż nie wrócił z Romanówki. Wtedy jeden z bandytów zaczął do niej strzelać. Została trafiona siedmioma pociskami, skonała we krwi na podłodze. Babcia Stanisława B., która tej nocy u nas spała, również została zastrzelona.

Obie z siostrą Alą, przerażone, błagałyśmy o darowanie życia. Zawinęłam się w pierzynę i cała skurczyłam. Oprawca strzelił. Kula musnęła mi lekko skroń i przeszła lewe ramię. Dostałam jeszcze cios kolbą i straciłam przytomność. Ala krzyczała, zasłaniając się rękoma. Przestrzelono jej prawą dłoń, pobito kolbą, również straciła przytomność. Siedemnastomiesięczna Jadzia została zastrzelona.

Nie wiem, jak długo trwała rzeź. Gdy się obudziłam, siedziała nade mną Ala, cała we krwi i w czerwonej pościeli. Wstałyśmy i poszłyśmy do domu naszego dziadka Bolesława B., mieszkającego jakieś 150 metrów dalej. Wokół słychać było strzelaninę. Na drodze zauważyliśmy wóz, na którym siedział uzbrojony Ukraińiec. Na jego widok schroniłyśmy się w gęstym zagonie kwitnącego maku. Gdy wóz odjechał, weszłyśmy do mieszkania dziadka. Leżał zabity, a obok niego jego syn Zygmunt z żoną Wiktoria i ich synkami, Wackiem i Leszkiem. Zabite zostały również farmaceutka H. i jej córka Giza — Żydówki, które ukrywały się u dziadków. (Uciekł dziewięcioletni Hałek H., tułał się przez dwa tygodnie i został zastrzelony w podzięgu przez Niemca.)

Z domu dziadka poszłyśmy do mieszkania szewca W. Tam zobaczyłyśmy trupy: W., jego żony i dwójki dzieci, Bolka (8 lat) i Adeli (15 lat) [...].

Dalej nie mogłyśmy iść, bo zostałyśmy zauważone przez Ukraińca, który gonił młodego mężczyznę i strzelał za nim. Chyłkiem powróciłyśmy do domu, tam położyłyśmy się do łóżka. [...] Potem przyszły trzy kobiety z różańcami i zabrały nas.

Gurów

Czesław S. (ur. 1918):

O trzeciej nad ranem byłem w swojej stodole, gdzie miałem urządzoną kryjówkę. Usłyszałem nadjeżdżającą furmankę. Przez szparę między deskami zobaczy-

łem dwóch mężczyzn z karabinami, którzy zeskoczyli z wozu w stronę domu. Trzeci siedział na wozie. Obok furmanki zauważyłem chłopca (16–17 lat) [...] narodowości ukraińskiej, który mieszkał niedaleko mnie w Witoldowie. Mój pies zaczął strasznie ujadać, mordercy skierowali na niego lufy karabinów.

Do mieszkania weszli przez niezamknięte drzwi. Strzelali z bliska w głowy. Mózg był na ścianach pokoju. Wszystkie osoby leżały na podłodze we krwi. Czesław Z. został zabity na kanapie. Moja żona Janina klęczała z rozkrzyżowanymi rękami. Widocznie ukłękła, prosząc o darowanie życia. Teściowa upadła pod stół, przewracając naczynia i butelki.

Po wymordowaniu mojej rodziny w mieszkaniu, mordercy wpadli do stodoły, szukając mnie. „*Nie ma joho, wikt!*” [Nie ma go, uciekł] — mówili. [...] Usłyszałem odjazd furmanki zaprzężonej w dwa konie. Chciałem uciekać do sąsiada Konstantego S., ale ponieważ mordercy pojechali w kierunku jego gospodarstwa, cofnąłem się. Zdążyłem zobaczyć, że S. wyprowadza dwa konie i rocznego źrebaka na łąkę obok sadu. [...] Po kilku minutach zobaczyłem, jak mordercy łapią go przy koniach i prowadzą do domu. Przerażony wróciłem na własne podwórze i schowałem się do piwnicznej kryjówki obok stodoły, gdzie przesiedziałem do godziny dziesiątej. [...]

[Potem] widziałem pomordowanych S., postrzelanych i porąbanych siekierami. Konstanty leżał na podłodze z roztrzaskaną głową [...], obok leżała [...] Balbina S. i ich córka Weronika (11 lat).

[...] Przez trzy dni po tragedii panowała cisza, nikogo nie widziałem. Ukrywając się w zbożu, od czasu do czasu wyglądając, co się dzieje wokół domu, udało mi się spotkać z sąsiadami Ukraińcami [...]. Oni wykonali trumny z desek i wykopali dół na mogiłę [...]. Pochowaliśmy trójkę pomordowanych obok domu, w sadzie, stawiając na mogile krzyż, który zrobili Ukraińcy. Ukrainka przyniosła mi bochenek chleba na drogę i rozplakała się, mówiąc: „*My wam nic nie winni, jak będziesz żył, to się dowiesz, kto mordował!*”. [...]

W dniu, w którym chowaliśmy w sadzie moją rodzinę [...], do gospodarstwa S. przyszli jacyś uzbrojeni osobnicy w kolejowych mundurach. Ukraińcy zostawili trumny i uciekli, obawiając się, że może ich spotkać coś złego. Słyszając, że faktycznie przyjechali Polacy, pobiegnęłam przywitać się i ze łzami w oczach zobaczyłem kolejarzy polskich z bronią, którzy przyjechali z Włodzimierza Wołyńskiego. [...]

Julian S. z bratem Feliksem [synowie zamordowanych S.], z siostrzeńcem Zygmuntem M. [...], przygotowali mogiłę na podwórzu gospodarstwa, niedaleko studni. Ułożyli w niej trzy trumny i postawili trzy krzyże. Zaraz po tym pogrzebie i odejściu Polaków [...], Ukraińcy biegali od jednego do drugiego polskiego gospodarstwa, wzniciając pożary. Pozostały zgliszcza i wypalone sady.

Witoldów, gm. Poryck, pow. Włodzimierz

Zygmunt M. (ur. 1925):

Gdy skrycie wszedłem do mieszkania [S.], zastałem makabryczny widok. Drzwi były pootwierane, kury chodziły po kuchni i dziobały upieczony przez babcię chleb, leżały łuski po wystrzelonych nabojach. W dużym pokoju znalazłem ciała. Dziadek [Konstanty S.] leżał na podłodze w kałuży krwi, w kożuchu, boso i praktycznie bez głowy. Resztki mózgu widziałem na ścianach i suficie. Część głowy była wbita w szyć obuchem siekiery, tak że widoczny był tylko fragment brody. Na całym ciele miał rany postrzałowe i od siekiery. Obok leżała babcia i Weronika, obie w kałuży krwi. Miały ślady po kulach i rany klute głowy oraz nóg. Babcia była przerębana siekierą wzdłuż piersi. [...]

14 lipca w godzinach przedpołudniowych, w słoneczny dzień, skrycie, polnymi miedzami, wśród łąnów zbóż, podeszliśmy grupą do gospodarstwa dziadków, by na podwórzu pochować ich ciała. [...]. Niosłem ciało mego dziadka bez głowy. Kozuch nasiąknięty był krwią i mazią z mózgu. Bardzo spieszyliśmy się, ponieważ od lasu Hromosz słychać było pierwsze strzały bandytów z UPA.

Witoldów

Maria B.-Cz. (ur. 1923):

Na Wołyniu mieszkaliśmy od pokoleń. [...] Byłam już mężatką i miałam roczną córeczkę Reginkę. Mieszkaliśmy z mężem w domu moich rodziców. Była z nami jeszcze Tamarka, ośmioletnia dziewczynka, którą porzucili Rosjanie w 1941, uciekając przed Niemcami. Nie знаła swojego nazwiska. Przygarnęliśmy ją [...].

Na początku 1943 roku zaczęły przenikać do Teresina ponure wieści. [...] Nie chciano dać temu wiary [...], ale kiedy w cerkwi w Swojczowie Ukraińcy poświęcili kosy, siekiery, łopaty, widły, [...] mieszkańców parafii Swojczów ogarnęła trwoga. W dzień pracowaliśmy na polu i w obejściu, noce spędzaliśmy w zbożu, w stogach siana, stodołach lub zbierając się po kilka rodzin i wystawiając warty, żeby nie dać się zaskoczyć bandytom. [...]

11 lipca przyszli u schyłku nocy. Około trzeciej usłyszałam ostre szczekanie psów. Wybiegłam z mężem i ojcem na podwórze. Od strony ukraińskich wsi Gnojno i Mohylno szła szerokim łąnem w stronę naszej osady jakby chmura ludzi. Słychać było dudnienie kroków. [...] Cofnęliśmy się do domu. Chwycałam córeczkę i ukryłam się z nią w piwnicy, pod podłogą kuchni, za rzędem beczek. W tym czasie Reginka była chora na koklusz i bardzo głośno kasłała; bałam się, że kaszel zdradzi kryjówkę, ale dziecko wyczuło zagrożenie i siedziało cichutko. Słyszałam płacz i rozpaczliwe krzyki moich bliskich, których wywlekano z domu i zabijano na podwórzu. Słyszałam też krzyki oprawców. Nie padł ani jeden strzał — zabijali siekierami, widłami. Struchlała, oczekiwałam na swoją kolej. Gdy płacz i prośby moich bliskich ustały, zobaczyłam, jak uchyla się właz do piwnicy i [usłyszałam] męski głos: „*Ne maje nykogo*”.

Po jakimś czasie, gdy zupełnie ucichły głosy ukraińskich bandytów, wyjrzałam przez okno w kuchni. Oczom moim ukazał się potworny widok. Mama, ojciec, siostra, mąż, dzieci: Krysia i Tamarka — leżeli na podwórzu z odrąbanymi głowami w morzu krwi. Cofnęłam się do kryjówki. [...] Przesiedziałam tam cały dzień [...]. Gdy o zmierzchu wyjrzałam po raz drugi na podwórze, zwłok moich bliskich już nie było, zostały zakopane w obejściu. Cały nasz dobytek rozgrabiono.

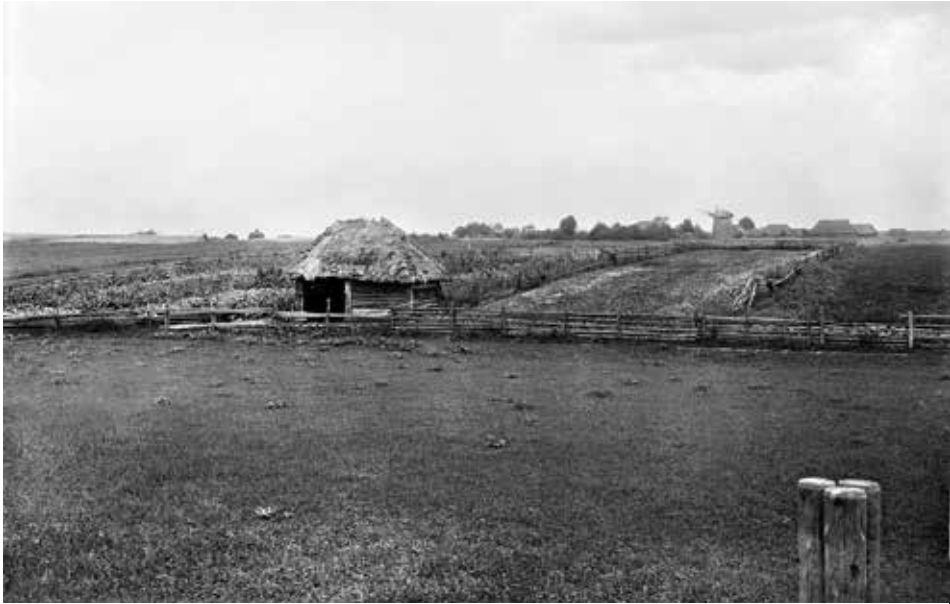
Nocą wymknęłam się z córeczką na rękę, jak stałam, w jednej sukience, bez kromki chleba na drogę. W jednej chwili straciłam wszystko — rodzinny dom, najbliższych [...]. Czołgając się, oddaliłam się w stronę pól. Nocą szłam przez bagna, zwane rudowinami, w dzień siedziałam w łożach. Wiedziałam, że aby żyć, muszę pokonać 17 kilometrów drogi do Włodzimierza Wołyńskiego.

Teresin, gm. Werba, pow. Włodzimierz

Wiesław Witold G. (ur. 1937):

Szedłem z mamą na mszę na godzinę 11.00 do Chrynowa. Z krzaków przy drodze w lesie wyłonił się Ukraińiec i zaczął machać rękami: „*Wróć, wróć!*”. Mama zapytała: „*To co, do kościoła nie można iść?*”; odpowiedział: „*Nie gadaj, tylko wracaj*”. Około 11.30 od strony Chrynowa słychać było strzały i wybuchy.

Chrynow, gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz



Powiat łucki. Fot. Jakub Radziewanowski, zbiory Lutostława Stachowskiego

Zygmunt A. (ur. 1925):

Służyłem do mszy świętej [w Chrynowie] o dziewiątej rano. Ksiądz, zaniepokojony sytuacją, odprawił mszę szybko, bez kazania, i powrócił na plebanię. Ludzie wyszli i niebawem zaczęli cofać się strwożeni, że posterunki banderowców zawracają ich do kaplicy. Dodatkowo zaczęli przybywać wierni na sumę o jedenastej.

Tymczasem przyszła na plebanię pani P. ze Stasina (gospodarstwo położone niedaleko), prosząc księdza o wyspowiadanie jej bardzo chorego męża. Ksiądz wziął wiatyk i we trójkę poszliśmy. Niedaleko kaplicy wyszli ze zboża banderowcy i nie chcieli nas przepuścić. Jednak na prośbę pani P. i moje tłumaczenia, że zaraz wracamy na nabożeństwo, przepuścili nas. Po udzieleniu choremu komunii świętej, powróciliśmy z księdzem na plebanię, nie zatrzymywani już przez liczne ukraińskie posterunki.

Ksiądz rozpoczął sumę. Razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy było w kaplicy około dwustu osób, przeważnie kobiety i dzieci.

Z kolegą Jankiem Ż. stanęliśmy za drzwiami, które otwierały się do wewnątrz. Po podniesieniu zauważyłem obok drzwi podejrzany ruch. Kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy i zaczęli strzelać do ludzi; rzucili również dwa granaty, które na szczęście nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube kapliczne drzwi. W świątyni zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie uciekali bocznymi drzwiami, obok zakrystii i chóru. Kaplica była jednak szczelnie otoczona i bez przerwy rozlegały się strzały. Trwał krzyk, [słyszałem] jęki i rozdzierające wrzaski dzieci.

Ksiądz wraz z kobietami uciekał od ołtarza przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici. Ojciec mój, który był organistą, uciekał z innymi przez drzwi przy chórze. Banderowski bandyta podbiegł i strzelił do niego czterokrotnie, ale były to niewypały i ojciec zdołał uciec.

Po jakimś czasie, gdy w kaplicy pozostali już tylko zabici i ranni, banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do pobliskiego lasu. Udało nam się uciec

do położonej obok kaplicy organistówki. Dookoła leżało wiele trupów, ranni czołgali się w zboża. W organistowce schowaliśmy się w piwnicy, jednakże baliśmy się, że Ukraińcy mogą wrócić i odnaleźć nas. Na zewnątrz panowała już martwa cisza. Sprawdzając, czy w pobliżu nie ma reżunów, uciekliśmy w zboża i, na przemian pełzając i biegnąc, dotarliśmy do odległego o dwa kilometry Oktawina.

Chrynów

Jan B. (ur. 1936):

Mieszkailiśmy w leżącej cztery kilometry na południe od Porycka kolonii Olin. W niedzielę udaliśmy się furmanką do naszego kościoła parafialnego w Porycku. Jechało nas sześcioro: dziadek Józef B., ojciec Kazimierz, siostry Waleria (9 lat) i Genowefa (11 lat) oraz brat Józef (15 lat). [...]

Gdy dojechalśmy, konie z wozem zostały przywiązane do drzewa obok parkanu na dziedzińcu przykościelnym, a sami weszliśmy do kościoła. [...]

Ksiądz proboszcz Bolesław Sz. rozpoczął mszę. [...] Nagle usłyszałem odgłos strzałów karabinu maszynowego, dolatujący od strony głównego wejścia. Tata błyskawicznie posadził mnie w niszy po zrabowanej przez Sowietów figurze Matki Boskiej. [...] Sam uklęknął obok konfesjonału, ale wypatrzył go któryś z banderowców. Kula trafiła go w policzek. Skonał na moich oczach, nic nie mówiąc. Siedziałem skamieniały. Banderowcy rzucali granaty między ławki. Powodowały straszne spustoszenie, rozrywały ciała wiernych, wypływające wnętrzości wydzielały okropny zapach [...]. Posadzka między ławkami była cała zalana krwią. Ukraińcy nie mogąc dorzucić granatów na chór, ostrzelali go z karabinów. Polacy otworzyli główne drzwi i kto żyw biegł do wyjścia. Lecz przed kościołem ustawiony był karabin maszynowy. W ciągu minuty w przejściu powstała góra zabitych i rannych. [...]

Wyszedłem z wnętrza i pobiegłem do dziadka, leżącego między ławkami. Był ranny w kolano, kazał mi uciekać do ciotki Walerii W., która mieszkała nieopodal



Kościół w Porycku. Fot. ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie

kościół. Przedzierałem się przez stos zabitych w drzwiach głównych. Wychodząc na dziedziniec zamarłem, bo ujrzałem dwóch Ukraińców przy karabinie maszynowym. Nieoczekiwanie jeden powiedział do drugiego: „*Puść, jego i tak wilki zjedzą*”. Moje białe jeszcze rano ubranko nasiąkło krwią z ciała, po których musiałem się przedzierać, chcąc wyjść z kościoła. Pobiegłem do domu cioci, ale nie wszedłem do mieszkania, bo zaraz za progiem leżała kobieta z roztrzaskaną głową. Mózg i krew rozbryzgane były po całym przedsionku. Wycofałem się do drewnitni.

Rozpadał się ulewny deszcz. Banderowcy tymczasem opuścili teren przykościelny, zaczęli bić i rabować mieszkańców Porycka. Schowany za drzwiami drewnitni, obserwowałem nasze konie i wóz, czekając, aż ktoś nadejdzie. Po jakimś czasie pojawił się mój brat Józek z sąsiadem. Przeżył schowany w grobowcu [katakumbach pod kościołem]. Wybiegłem do nich i zdałem relację, gdzie kto leży.

Idąc do kościoła znaleźliśmy Tośka, syna cioci Walerii. Zanieśliśmy go na nasz wóz, który Ukraińcy porzucili, widząc dyszel złamany przez spłoszone konie. Sąsiad zdecydował, że taty nie zabierzemy, bo w każdej chwili mogą wrócić Ukraińcy, zabraliśmy więc tylko dziadka, po czym kazał nam prędko ruszać. Do wozu dobiegła jeszcze dziewczyna od A. z naszej kolonii. Józek usiadł na złamanym dyszlu i stamtąd powoził. My leżeliśmy na wozie plackiem, by wyglądało, że konie się spłoszyły. Tak pędząc przez pola i łąki dotarliśmy do domu.

Domy w kolonii Olin stały opuszczone. Ktoś spóźniony na mszę cofnął się do osady i powiadomił o rzezi w Porycku. Nie zastaliśmy więc ani dziadków Sz., ani mamy z pozostałymi dziećmi [...]. Uciekli w kierunku Sokala, bo tam Niemcy trzymali posterunek na Bugu. Spotkaliśmy za to naszych wujków [...], którzy obserwowali wioskę i zaskoczeni naszym widokiem krzyknęli: „*To wy żyjecie, a mówili, że rezuni wymordowali wszystkich w kościele!*”.

Wujek Kostek rozkazał zaraz zmienić opatrunki rannym. Józek miał pomóc przy zmianie dyszla, a mnie przypadło rozpalić w piecu, aby podgrzać wodę do obmycia ran. Jednakże ran nie zdołaliśmy już przemyć i opatrzyć. Na widok unoszącego się z komina dymu, hurma Ukraińców z sąsiedniej wioski ruszyła w naszą stronę.

Wujek Kostek krzyknął: „*Na wóz!*”, a wujek Kuba przeniósł Tośka. Dziadek nie dał się zabrać. Powiedział, że jest już stary i ranny, to nic mu nie zrobią. Został w domu na łóżku. Józek kończył zmianę dyszla i poprawę uprzęży. Wujek Kostek wrzucił jeszcze na wóz worek grochu, przykrył nas sianem i kazał jechać do Sokala, ale tylko leśnymi drogami. Obaj wujkowie zostali, ukrywając się w sadzie, aby obserwować losy zabudowań i mienia.

Do lasu było niespełna 50 metrów, więc ukraińscy chłopcy nie zdołali nas dogonić. Józek znając drogi leśne, którymi często chodził na zakupy do Sokala, szczęśliwie dowiózł nas do Bugu. Niemcy [...] skierowali nas do punktu pomocy sanitarnej. [...] Jakież było nasze zdziwienie, kiedy zastaliśmy tam ciocię Walerię. Pokonała biegiem 22 kilometry, dzielące Poryck od Sokala. Uradowana, wzięta rannego syna na ręce i zaniósła do lekarzy. Ci widząc, że potrzebna jest operacja, gdyż w głowie Tośka utkwiał odłamek granatu, skierowali go nazajutrz pierwszym pociągiem do odległego o 100 kilometrów Lwowa. Po operacji żył jeszcze miesiąc. Dwudniowa obecność odłamka wywołała zakażenie krwi.

My z Józkiem czekaliśmy w okolicy klasztoru [bernardynów w Sokalu], mając nadzieję, że któraś z [naszych] siostr jeszcze dotrze, gdyż żadnej nie widzieliśmy ani żywej, ani zabitej. Po dwóch dniach udaliśmy się do Waręża, gdzie mieszkał stryj Adam B. Zdaliśmy mu relację o rezunach. Kazał nam poczekać, a sam poszedł przekonać dwóch Niemców, by pojechali z nim do kolonii Olin. [...] Uda-

ło mu się dogadać za odpowiednią opłatą. Stryj zastał w wiosce już tylko spalone domy i zabudowania, a w miejscu, gdzie stało łóżko, zwęglone kości dziadka.

Poryck, pow. Włodzimierz

Ryszard J. (ur. 1930):

11 lipca przyjechaliśmy do Porycka na mszę o jedenastej bardzo dużo ludzi. Brałem udział w tej mszy z ojcem i dziadkiem Józefem J. [...]

Ojciec stał w korytarzu, ja natomiast z innymi dziećmi przed samym ołtarzem. W pewnym momencie w trakcie mszy otworzyły się główne drzwi i usłyszeliśmy strzały. Ludzie zaczęli padać na ziemię i krzyczeć, inni rzucili się do bocznych drzwi. Powstał taki tumult i zamieszanie, że nie było praktycznie nic widać i słyszać.

Uciekałem, jak inni, w kierunku bocznych drzwi. Tam również uciekał z korytarza mój ojciec, który złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą w stronę wieży kościelnej. Dostaliśmy się na wysokość kruczków, które biegnęły dookoła kościoła. Wejście na poddasze było zamurowane cienką warstwą cegieł. Ojciec o tym wiedział i szczyrykiem wydłubał cegły. Na dole cały czas słychać było strzały i krzyki. Gdy ojciec zrobił otwór w ścianie, weszliśmy na poddasze. Było nas tam około dziesięciu osób. Pobiegliśmy wokół kościoła aż do drugiej wieży, gdzie nie było schodów. Tam się ukryliśmy. Cały czas słyszeliśmy strzały, a także wybuch wewnątrz kościoła. [...]

W pewnej chwili zauważyliśmy dwóch mężczyzn z karabinami. Rozmawiali po ukraińsku. Chcieli iść dalej, ale zobaczyli, że z drugiej strony nie ma schodów i zrezygnowali. Nas nie zauważyli. Przesiedzieliśmy w tym ukryciu około czterech godzin, do czwartej po południu. Tymczasem nadeszła burza i ulewa. Na dole w kościele nie słychać już było strzałów, tylko jęki. Postanowiliśmy zejść.

Na schodach minęliśmy zwłoki kobiety, które trzeba było odciągnąć, żeby przejść na dół. W głównej nawie kościoła leżało dużo kobiet i dzieci. Niektóre jeszcze się ruszały i wołały o pomoc. Byłem tak wystraszony, że pośliznąłem się na krwi rozlanej na posadzce. Idąc dalej korytarzem, zobaczyłem leżące dwie dziewczynki w białych sukienkach i kobietę całą we krwi. Musiałem nad nimi przeskoczyć. [...] Wychodząc z kościoła od strony zakrystii, spotkaliśmy za drzwiami dziadka J. Miał osmalone włosy i marynarkę. Był oszołomiony, stał nieruchomo. Zapytał ojca, dokąd idziemy. Ojciec powiedział dziadkowi, żeby wracał do domu do Starego Porycka i przekazał bratu Gienkowi, aby zabrał całą rodzinę i uciekał do Sokala. [...]

Z ojcem nie wróciliśmy do domu, ale też uciekliśmy w kierunku Sokala. Przed wieczorem dotarliśmy do zabudowań naszego dawnego sąsiada Ukraińca Kyrka M. Dano nam tam jeść i przenocowano. Na drugi dzień Kyrk M. pojechał do naszego domu w Porycku i przywiózł walizki z rzeczami, które mieliśmy przygotowane na wszelki wypadek, a także ukryte pieniądze i dokumenty. Wieczorem 12 lipca udaliśmy się do Sokala.

Poryck

Zofia Janina S. (ur. 1930):

W niedzielę rano przyszła grupa uzbrojonych Ukraińców, chodzili po domach i kazali mężczyznom pojechać furmankami do lasu. Mówili, że mają coś wozic dla partyzantów ukraińskich. [...] Ode mnie z domu nikt nie pojechał, bo w tym dniu przyjechali do nas goście, małżeństwo K. z trzynastoletnim siostrzeńcem.

Po godzinie jedenastej usłyszeliśmy strzały od strony Porycka. [...] Sądziłyśmy, że to ćwiczenia partyzantów. Wyszliśmy na chwilę przed dom i wróciliśmy do środka. Za moment drzwi otworzyły się i weszło kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeden był

w hełmie, pozostali mieli na głowach furażerki. Ten, który nosił hełm, miał przewieszony przez ramię karabin maszynowy. Powiedział, byśmy wyszli z domu. Na pytanie ojca — dlaczego, odparł, że od Gruszowa nadchodzą Niemcy, a oni będą nas bronić. Na co mój ojciec zapytał — przed kim. Wówczas mężczyzna zarepetował broń i powiedział, że jeśli nie wyjdziemy, będzie strzelał. Wyszliśmy przed dom. Na naszym podwórzu stali inni sąsiedzi, część stała na drodze.

Pan K. podszedł do mężczyzny w hełmie i chwilę z nim rozmawiał. Domyślałam się, że podał się za Ukraińca (nikt go w okolicy nie znał), bo po chwili ten w hełmie pozwolił mu zaprząć do wozu. Nakazał mu jechać do Samowoli, tam zatrzymać się i pójść do sołtysa. Kiedy nasz gość wsiadał na wóz, zabierając swoją żonę i siostrzeńca, mój ojciec podszedł do Ukraińca i poprosił, aby pozwolił zabrać na wóz mnie i brata. Ten przez chwilę zastanawiał się, po czym wyraził zgodę. Powiedział jeszcze do pana K., aby jadąc do Samowoli zatrzymał się przy figurze [przydrożnym krzyżu] i tam nas zostawił. Mówił, że nasi rodzice tam przyjdą.

Ruszyliśmy. Gdy dojechaliśmy do figury, poprosiłam pana K., by nas wysadził, ale on odpowiedział, że nigdzie nie będziemy wysiadać i żebyśmy w ogóle się nie odzywali. Gdy dojechaliśmy do pierwszego budynku za krzyżem (była to druga część Orzeszyna), z budynku wyszli Ukraińcy i otoczyli wóz. Pytali pana K., kim jest i dokąd jedzie. Odpowiedział, że jest Ukraińcem i jedzie do sołtysa do Samowoli. Wtedy zauważyłam od strony Samowoli idącą dużą grupę osób. Widziałam również, że ludzie z naszej części Orzeszyna byli gromadzeni w jednym miejscu.

Nam Ukraińcy kazali wysiadać z wozu i wyprzęgać konie. Mówili, że muszą sprawdzić, kim jesteśmy. Cały czas nas pilnowali. Gdy ludzie idący od Samowoli zbliżyli się, dostrzegłam, że byli dokładnie strzeżeni przez uzbrojonych Ukraińców. Skręcili do lasu. Wówczas Ukraińcom, którzy nas pilnowali, zaczęło się spieszyć. Powiedzieli, żebyśmy jechali do Samowoli i tam czekali u sołtysa. Gdy odjechaliśmy kawałek, usłyszeliśmy z lasu strzały i straszne krzyki.

Jechaliśmy szybko pustą już drogą. W pobliżu pól oddzielających Orzeszyn od Samowoli ze zboża wyszło dwóch uzbrojonych Ukraińców. Znowu nas zatrzymali i pytali, dokąd jedziemy. Pan K. odparł, że ich starszyzna kazała mu jechać do sołtysa do Samowoli i że wcześniej wszyscy nas przepuścili. Cały czas rozmawiał po ukraińsku. Kazali nam jechać, ale widziałam, że patrzyli za nami. Gdy dojechaliśmy do niewielkiego lasku, pan K. skręcił do Sokala. Po drodze spotykaliśmy ludzi, którzy uciekali z Wołynia, przeważnie kobiety i dzieci. Niektórzy byli ranni. Zabieraliśmy uciekinierów na wóz.

Orzeszyn, gm. Poryck, pow. Włodzimierz

12 lipca 1943 (poniedziałek)

Leokadia P. (ur. 1935):

Tego dnia z babcią i siostrą Teresą pasłam krowy. Babcia zauważyła z oddali pożar i powiedziała, że trzeba iść do domu i dowiedzieć się, co się dzieje. Mama w tym czasie wносиła co najpotrzebniejsze [rzeczy] z domu w pole. Zabrała mnie i Teresę. Położyliśmy się na miedzy, pomiędzy łanami żyta, i obserwowaliśmy dom. Po chwili usłyszałyśmy strzał, a mama krzyknęła: „*Dzieci, uciekajcie, bo ja już jestem ranna*”. [...] Podniosłyśmy się i spostrzegłyśmy stojącego w odległości kilkudziesięciu metrów mężczyznę w mundurze wojskowym i butach oficerkach. W rękach trzymał karabin i mierzył w naszym kierunku. Uciekłyśmy w żyto. Mężczyzna zaczął strzelać za nami.

Usłyszałam, że babcia, ukrywająca się niedaleko, zaczęła charczeć, chyba została ranna. My dalej siedziałyśmy cicho, a kule padały obok nas. Po chwili usłyszałyśmy kroki, a potem z miejsca, gdzie leżała mama, tępy odgłos uderzenia. Domyśliłyśmy się, że ten mężczyzna dobił mamę. Potem odszedł. Zaległa cisza. Starsza siostra Krysia zaczęła krzyczeć: „*Mamo, mamo!*” i wybiegła na miedzę. Wybiegłyśmy za nią z Teresą, zauważyłyśmy, że mama ma rozbitą głowę. Już nie żyła. Przekazywałyśmy na polu, aż się ściemniło.

Krysia zaprowadziła nas do P. [Ukraińców mieszkających w wiosce]. Po chwili [przyjechali] Ukraińcy na koniach, zaczęli krzyczeć, żeby wszyscy wychodzili przed dom z dokumentami. Ukrainka P. powiedziała, że może ukryć tylko Krysię. Mnie i Teresę kazała zaprowadzić starszej siostrze w pole.

Po jakimś czasie dwóch Ukraińców na koniach znalazło nas w życie. Prowadzili nas obok domu P. i pytali, czyje to dzieci. Nagle znalazł się nasz ojciec i krzyknął, że jego. Wtedy Ukraińcy zaczęli ojca kopać i bić. Kazali mu szybko iść przed nimi. Ojciec krzyczał, że my nie możemy nadążyć. Zaprowadzili nas na podwórko gospodarstwa N. Była tam cała banda Ukraińców z kosami, siekierami i widłami. Widziałam, jak z piwnicy Ukraińcy wywlekli babcię N. Była to staruszka ponad 80-letnia, nie chodziła, Ukraińcy wlekli ją po ziemi. Położyli jej głowę na pieńku i odrąbali siekierą. Przeraziłam się. Ojca zabrali do stajni.

Jeden z Ukraińców podszedł do nas. Rozpoznałam w nim znajomego rodziców [...]. Prosiłam go, żeby nas nie zabijali. Spojrzał na nas i zwrócił się do dowódcy bandy: „*Nie zabijajmy ich, kto inny je złapie, to zabije*”. Dowódca kazał mu zapytać nas, czy my Polki, czy Ukrainki. Odpowiedziałyśmy, że Polki. Wtedy krzyknął: „*To bierz je!*”. Znajomy zaprowadził Teresę do stajni, a potem wrócił po mnie.

Weszłam do stajni i zobaczyłam stos trupów, kilkadziesiąt zwłok. Uderzono mnie w głowę, straciłam przytomność. Ocknęłam się w chwili, kiedy stajnia zaczęła się palić. Zaczęłam krzyczeć: „*Tato! Tereniu!*”. Ojciec nie odzywał się. Odezwiała się Tereska, powiedziała, że jest przerażana siekierą przez krzyż i nie może uciekać. Krzyczała do mnie: „*Uciekaj sama, Lodziu!*”. Wywlokłam się na kolanach, wszystko się paliło. Podczołgałam się do ogródka i tam zasnęłam. Rano pobiegłam do P. [...] Starsza siostra zaopiekowała się mną.

Osada wojskowa Ułanówka, gm. Mikulicze, pow. Włodzimierz

13 lipca 1943 (wtorek)

Franciszka B.-Dz. (ur. 1921):

W Józefinie mieszkaliśmy z mężem, trojgiem dzieci: Halinką (4 lata), Henią (2 lata) i urodzoną w maju 1943 Aldoną. Mieszkała także z nami teściowa Maria N. (70 lat).

W lipcu 1943 postanowiłam odwiedzić swojego ojca w Kalinówce; matka już nie żyła. W niedzielę nie pojechaliśmy, bo bardzo padało. W poniedziałek powiedziałam mężowi, że po takim deszczu nie pójdzie w pole i żeby pojechać do ojca. Wzięłam opiekunkę do dzieci i pojechaliśmy. Przez całą drogę, około 20 kilometrów, wszystkie miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, wyglądały na wymarłe, nie widzieliśmy żadnych ludzi. [...] Dojechaliśmy do Bielina, gdzie mieszkała moja najstarsza siostra Maria K., podjechaliśmy pod jej dom. Wybiegła do nas, powiedziała, że całe szczęście, że nie przyjechaliśmy dzień wcześniej, bo wczoraj Bielin został napadnięty przez Ukraińców [...].

Siostra opowiedziała mi, że po powrocie z kościoła i nakarmieniu dzieci, położyła się i czytała książkę. [...] W pewnym momencie zauważyła pod oknem jakies

postacie. Pomyślała, że może ktoś schronił się przed deszczem. Podniosła się jednak z łóżka i spojrzała przez okno na dom sąsiada. Zobaczyła, że pod jego oknami również stoją jacyś ludzie w siermięgach. Zastanowiło ją to, otworzyła drzwi i zobaczyła w progu Ukraińca. Gdy chciała wyjść, ten jej nie puścił i powiedział, żeby nie wychodziła, bo ją zabije. Przestraszyła się i została w domu. Wszystkie polskie domy zostały tak obstawione. [...] Gdy po jakimś czasie Ukraińcy odstępili, okazało się, że tego dnia nikogo nie zabili, ale obrabowali prawie całą wieś. Przyjechali wozami i brali, co im się podobało. Gdy zabrakło im wozów, zmusili część polskich gospodarzy, aby swoimi wozami przewieźli im zrabowane rzeczy. [...]

Postanowiliśmy z mężem wracać do domu. W mijanych miejscowościach, jak poprzednio, ani żywej duszy. Dopiero jakiś kilometr od domu zobaczyliśmy furmankę. Na wozie jechali Ukraińcy, chłop z przodu, kobieta z tyłu. Jednocześnie dostrzeżliśmy łunę nad Józefinem i straszny pożar dalej na widnokręgu. Mąż zapytał Ukraińca, co się tak pali. Chłop opuścił głowę i nie odezwał się, natomiast kobieta złożyła ręce i powiedziała: „*Oj, bida, panoczku*” — i pojechali.

Przyjechaliśmy na podwórko. Akurat był tam brat męża Franciszek. Pokazał na łunę i powiedział, że tam już płoną polskie wsie. [...] Stwierdził, że może tej nocy jeszcze do nas nie dojdą, ale trzeba wystawić wartę. Mąż z bratem umówili się, że będą pilnować w nocy, a kobiety i dzieci będą spać. [...] Brat poszedł do domu.

Po kolacji położyłam dzieci spać, a mąż wyszedł na podwórko pilnować. Nad ranem przyszedł do mieszkania, usiadł przy stole, zapalił papierosa i stwierdził, że robi się dzień, to już chyba nie będzie. Rozbudziłam się, zaczęliśmy rozmawiać. Nagle otworzyły się drzwi i do domu wpadło kilku Ukraińców. Któryś krzyknął: „*Najsampierw gospodarza*”. Chwycili męża, wykręcili mu ręce i dwóch zabrało go na dwór. Dwóch innych podeszło do teściowej, która leżała na łóżku. Uderzyli ją kolbą i wywlekli na dwór. Przy mnie został jeden chłopak, około dwudziestoletni [...]. Zaczęliśmy rozmawiać po polsku, był grzeczny. Powiedział, żebym prędzej wychodziła z dziećmi. Zaczęłam je ubierać. Widząc, że nie daję rady, krzyknął do swoich, aby przyprowadzili teściową. Teściowa wzięła Henię, ja najmłodszą córkę okręciłam w becik i wzięłam na lewą rękę, a Halinkę wzięłam za rączkę. Halinka kucnęła i nie chciała iść. Powiedziałam jej: „*Chodź, bo tam został tatuś*”.

Na zewnątrz zobaczyłam męża, odwróconego twarzą do ściany domu. Przy nim stał Ukrainiec [...] i trzymał wycelowaną pepeszę. Gdy wyszliśmy, uwolnił męża, który podeszedł do nas i wziął Halinkę na ręce. Wtedy spostrzegłam, że Ukraińców jest kilku. Byli po cywilnemu, nie mieli mundurów ani widocznych oznaczeń wojskowych. Część przeszukiwała budynki. Domyślałam się, że od razu chcieli nas wymordować, tylko nie wiedzieli gdzie. Mieszkania, stodoły i stajni było im szkoda. Po chwili jeden, który buszował po gospodarstwie, wskazując na szopę, powiedział: „*Tam nie ma niczego*”. [...]

Zaczęli nas popychać do szopy. [...] Spieszyli się, byli nerwowi, ponieważ wstałam już dzień. W szopie znajdowała się przyma cegieł. Przed wojną planowaliśmy wybudować cegielnię. Stańliśmy przy tej ścianie z cegieł, po mojej prawej stronie mąż, po drugiej teściowa. Do tej chwili byłam przekonana, że Ukraińcy chcą tylko przeprowadzić u nas rewizję, teraz zrozumiałam, że to koniec. W ostatniej sekundzie pomyślałam, że dowiem się, jak jest na tamtym świecie i zobaczyłam, że ów grzeczny młody Ukrainiec, który stał przy mnie w domu, wycelował do nas z pepeszy i zaczął strzelać.

Mąż zginął chyba od razu, razem z Halinką. Ja trzymałam dziecko na lewej ręce. Kula przeszła mi rękę jakieś 15 centymetrów od nadgarstka. [...] Pocisk, który

przebił rękę, spowodował znacznie większą ranę w miejscu wylotu niż wlotu. Następnie prawdopodobnie przebił ciało mojej córeczki, po czym powierzchownie rozerwał mi mięsień nad prawą piersią. [...] Musiałam zemdleć po strzale.

Gdy się ocknęłam, zupełnie nie pamiętałam, co się wydarzyło, zobaczyłam tylko ogień. Szopa płonęła. [...] Na czworakach zaczęłam przesuwając się dalej od ognia. Szopa była nieszczęlna i znalazłam otwór, przez który wydostałam się do ogrodu. Nie miałam orientacji, co robię. Wpadłam w wielki dół, w którym trzymaliśmy w zimie wytłoki dla inwentarza. W dole uświadomiłam sobie, że coś miałam na ręku, po chwili dotarło do mnie, że trzymałam córkę. Błyskawicznie wszystko mi się przypomniało i w tej chwili z ręki wytrysnęła mi krew. Obcisnęłam sobie ranę narzutką. Pomyślałam, że jeżeli moje dzieci żyją, będą piszczeć, ale szopa spaliła się, a ja żadnych dźwięków nie usłyszałam. [...]

Usłyszałam rozmowę na podwórku; myślałam, że wrócili bandyci, ale rozpoznałam głos sąsiada P. [...] Na nasze podwórko zaczęli schodzić się nieliczni ocaleni. Poprosiłam ludzi o odszukanie w zgłiszczach zwłok moich bliskich. Teściowa, mąż i najmłodsze dziecko byli zupełnie spaleni. Z dwumiesięcznej Aldonki znaleźliśmy tyle ciała, co na mojej dłoni. Starsze dziewczynki były calutki, miały nie spalone włosy, skórę. Widziałam miejsca, gdzie zostały postrzelone — średnia w buzię, a Halinka, już nie pamiętam, pamiętam tylko, że z buzi wystawał jej języczek.

Zwłoki ułożyliśmy w skrzyni ze spiżarni, a skrzynię postawiliśmy w ogrodzie. P. zaprzął nasze konie — chciał uciekać z rodziną i wziąć mnie. Weszłam jeszcze do domu, gdzie w otwartej szafie zobaczyłam ubranka dzieci. Nie byłam w stanie niczego zabrać. [...]

Tej nocy Ukraińcy wymordowali prawie całą polską ludność Józefina i przylegającego do niego Fundumu. Zostały tylko niedobitki, jak ja. [...]

Ukraińcy, gdy nie zdołali zabić gospodarzy, palili ich budynki, natomiast gdy zabili całą rodzinę, nie podpalali, gdyż planowali, że to będzie ich. Naszego gospodarstwa, oprócz szopy, nie spalili.

Józefin, gm. Chotiaczów, pow. Włodzimierz

14 lipca 1943 (środa)

Stanisław M. (ur. 1935):

Pan B., który przyjaźnił się z sąsiadem, gospodarzem ukraińskim I.S., powiedział mi, że całą rodziną musimy wyjeżdżać, bo I.S. ostrzegł go, że Ukraińcy będą mordować w Ławrowie. B. zabrali na wóz konny trochę ubrania i jedzenia i wyjechali z córką do Łucka. Ja nie pojechałem, bo miałem króliki i gołębie, poza tym w Ławrowie została babcia B. z córką kaleką. Tak mieszkaliśmy jeszcze miesiąc. Do domu wprowadziła się [...] pani J. z mężem i siedmiorgiem dzieci. Było nas dwanaście osób w gospodarstwie.

14 lipca zaczęliśmy żniwa. Kosa była tępa i pan J. poszedł do I.S. ją wyklepać. Ja siedziałem na drzewie i rwałem czereśnie. Zobaczyłem, że jakieś wojsko niemieckie — tak mi się wydawało, bo widziałem ludzi w mundurach niemieckich — idzie do naszego gospodarstwa. Było ich chyba szesnastu. Antek, syn J., mówił, że może idą po ojca, żeby jechał do Łucka. Ja powiedziałem, że to są chyba ukraińscy bandyci i lepiej będzie, jak się ukryjemy. Gdy ci żołnierze zbliżyli się, zawołali Antka, żeby przyprowadził ojca. Antek poszedł do I.S., ja zaś pobiegłem do domu ukryć się.

Poznałem, że dwaj przebrani w niemieckie mundury mężczyźni to nasi sąsiedzi, synowie gospodarza czeskiego [...]. Mieli po około 25 lat i wiedziałem, że przystą-



Rozstaje dróg w powiecie horochowskim. Fot. Adam Julian Łukaszewski / Biblioteka Jagiellońska

pili do ukraińskich band. Nie dołączył się do bandy I.S., bo sobie przestrzelił nogę, był kulawy i go nie wzięli. [...]

Babcia, jej kaleka córka, J. i jej dzieci — wszyscy byli w domu. Wszedłem i powiedziałem, że trzeba się ukryć, bo przyszli Ukraińcy. Wcisnąłem się za pryczę stojącą w kuchni, na której był siennik ze słomy, i schowałem się za drewnianym szaflikiem. Ze mną ukryła się Kazia, jedna z córek J.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Cały dom został otoczony przez Ukraińców. Do środka weszło dwóch [...], mówili po polsku, pytali, kto jest Polakiem, zaczęli bić i kazali wszystkim kłaść się na podłodze w kuchni. Zaczął się lament. Ukraińcy mieli karabiny z bagnetami. Pierwszą przebili babcię B. i panią J. Dzieci biegały po kuchni, chciały się gdzieś schować, był pisk, krzyk, płacz, ale żadnych szans ucieczki. Ukraińcy wszystkie dzieci przebili bagnetami, wielokrotnie. Potem kłuli bagnetami pod łóżkiem, gdzie siedzieliśmy z Kazią. Uciekły tam jeszcze jej trzy młodsze siostry. Widzieli to Ukraińcy i jeden schylił się [...], uderzył kilka razy bagnetem i te dzieci przebił. Kazia miała pokłute ręce, nogi i kłatkę piersiową, leciała jej krew, ale nie były to groźne rany. Mnie bagnet nie trafił, bo byłem osłonięty szaflikiem. [...]

Gdy Ukraińcy odeszli i zrobiło się cicho, wyszliśmy z Kazią z kryjówki. [...] Na podwórku zobaczyłem przy pniaku zwłoki pana J. i Antka, którym bandyci obcięli głowy siekierami. Leżały obok pniaka. Ukryliśmy się w zbożu i postanowiliśmy uciekać przez pola.

Zapadła noc, weszliśmy do jakiegoś domu, w którym paliło się światło. Okazało się, że banderowcy mają w nim zebranie. Obok przenocowaliśmy. Kazia była ranna, więc została, a ja rano wróciłem polami do naszego gospodarstwa.

Z ukrycia zobaczyłem, że jacyś ludzie w cywilnych ubraniach załadowali na furmankę ciała zabitych i odjechali. Polami szedłem za nimi. Dojechali do wsi Kościeszków, gdzie poprzednio mieszkali J., tam wrzucili zabitych do studni na podwórku J.

Wróciłem do Ławrowa i spotkałem pana B., który przyjechał zobaczyć, co się dzieje w gospodarstwie. Razem pojechaliśmy po Kazię. Po drodze zatrzymali nas Niemcy z oddziału walczącego z Ukraińcami i pomagającego uciekać Polakom. Wyjaśniliśmy, gdzie i po co jedziemy. Niemiec kazał otoczyć dom, w którym była Kazia; została zabrana [...]. Niemcy znaleźli w tym domu broń, a Ukraińcy, którzy się tam skryli, zaczęli strzelać. Wówczas żołnierze niemieccy podpalili dom, wrzucili granaty do środka i nikt się z niego nie uratował.

Ławrów, gm. Połonka, pow. Łuck

Stanisław K. (ur. 1931):

Po południu pasłem pod wsią bydło na łące i zobaczyłem, że ludzie w wiosce uciekają w różnych kierunkach. Myślałem, że to Niemcy robią łapankę na roboty, bo tak wcześniej bywało. Gdy pędziłem bydło do domu i szedłem koło zabudowań ukraińskich, zaczęły do mnie dochodzić odgłosy jakby wystrzałów, ale na ulicy niczego nie było widać. Gdy wszedłem z bydłem na podwórze, dobiegł Polak, nie pamiętam, jak się nazywał i powiedział: „*Uciekajcie, Ukraińcy mordują!*”. [...] Brat Antoni uciekł do ogrodu i ukrył się, ale mama powiedziała, że jest stara i nie będzie uciekać. Żona brata, Katarzyna, była narodowości ukraińskiej — uciekła z dzieckiem do swej rodziny. Ja zostałem z mamą.

Gdy szliśmy doć krowy, na podwórze weszło trzech uzbrojonych banderowców po cywilnemu, z opaskami i tryzubami, i jeden Ukrainiec z naszej wioski [...], który pokazał na nas palcem: „*To Lachy*”. [...] Wówczas ci trzej kazali nam wejść do mieszkania, ponieważ, jak powiedzieli, chcą zrobić u nas rewizję. Gdy weszliśmy, od razu jeden z tych trzech kazał się mamie położyć na ziemi. Mama zaczęła prosić, żeby nas nie mordowali. Drugi powiedział do mnie, abym też się kładł. Chciałem złapać mamę za rękę, ale on odtrącił mnie kolbą. Położyłem się pierwszy, a mama dalej prosiła. Wtedy jeden z trójki dźgnął mamę w pierś bagnetem, następnie usłyszałem cztery strzały z karabinu. Nie widziałem, kto strzelał, bo ze strachu leżałem twarzą do ziemi. Prosiłem Boga, żebym się nie męczył. Miałem twarz zakrytą rękami i w czasie strzałów nic nie czułem.

Gdy Ukraińcy wyszli z domu, wstałem i wziąłem mamę za głowę. Zobaczyłem masę krwi i dziurę wielkości pięści. Ciało było jeszcze w konwulsjach. Zauważyłem też, że mam całe spodnie zakrwawione, myślałem, że to krew mamy. Wyszedłem na strych, żeby się ukryć. Słyszałem jęki sąsiada, mieszkającego 30 metrów od nas, konał na swoim podwórzu chyba z pół godziny. Nagle zobaczyłem, że z lewej nogi sika mi krew i zaczęło mi się robić słabo, a jednocześnie pomyślałem, że mogą spalić dom. Zszedłem ze strychu i gdy już byłem w korytarzu, utraciłem siły w nogach. Udało mi się jedynie wyjść z mieszkania i na drodze straciłem przytomność. [...]

Znalazł mnie sąsiad Ukrainiec Antoni G. i wziął do domu. Jego rodzina ukryła mnie w pokrzywach za domem i powiedziała o mnie mojemu bratu, który po napadzie też przyszedł do tego sąsiada. Brat poszedł do wioski Netreba, już w galicyjskiej części Wołynia, zorganizować transport. Poprosił Ukraińca o imieniu Jarsen, u którego miał dług wdzięczności, żeby przywiózł mnie wozem konnym. On faktycznie przyszedł i wziął wóz od Antoniego G., ponadto Antoni G. dał swojego syna do powożenia.

Na drodze złapali nas Ukraińcy [...]. Odgrzebali mnie w słomie i chcieli zastrzelić. Słyszałem, jak Jarsen targował się o moje życie. W końcu puścili nas i zawieziono mnie do Netreby, a następnie do szpitala w Zbarażu. Lekarz, który mnie opatrywał, stwierdził na mojej głowie dwie smugi po pociskach, stąd wiem, że dwa strzały były przeznaczone dla mnie. [...]

Syn Antoniego G., który mnie wioził do Netreby, stanął za to przed banderowskim sądem i został skazany na karę śmierci, ale im uciekł i ukrywał się nawet po wojnie.

Kołodno, pow. Krzemieniec

17 lipca 1943 (sobota)

Halina T. (ur. 1929):

O dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy alarm [bito w żelazne sztaby zawieszono przed domami], były dzwony kościelne. Kobiety, dzieci i starsi schronili się w kościele, mężczyźni zajmowali pozycje do obrony. Mój ojciec miał karabin; gdy usłyszał alarm, pobiegł do swojego oddziału. My początkowo schroniliśmy się w okopach, ale mama pobiegła jeszcze z panią S. wynieść z domu parę rzeczy, w obawie przed spalaniem.

W tym czasie razem z ciotką Jadwigą O. siedziałam w okopie. Podjechali do nas partyzanci sowieccy na koniach i powiedzieli, żeby schronić się w szkole lub pobliskich domach, bo jak podejda Ukraińcy, zarzucą okopy granatami. Gdy część osób wyszła, wybuchła strzelanina. Schroniliśmy się z ciotką w pobliżu jakiegoś domu, pod zrębem nie wykończonego ganku. Obok nas położył się jedenastoletni nieznamy chłopiec.

Pojawili się Ukraińcy. Nie widziałam ich, bo głowę miałam schowaną pod belką, tylko słyszałam, jak krzyтели: „*Chłopci, tu!*”. Usłyszałam strzał, trafili ciotkę. [...] Poczulałam na szyi i plecach ukłucia, były bolesne i głębokie. [...] Głowę osłoniła mi belka. [...] Gdy tak byłam kluta, obok słyszałam przeraźliwy krzyk również klutego pikami chłopca, który wołał swoją mamę. Ten chłopiec musiał cierpieć straszne męki, gdyż, jak się okazało, miał poraniony brzuch. Boże, jak on krzycał!

[...] Ukraińcy wycofali się [...]. Jeszcze nie straciłam przytomności, zaczęłam szeptać, aby ciotka się odezwała. Chłopczyk cały czas przeraźliwie krzycał, ja go prosiłam, żeby przestał, bo oni znowu przyjdą, i w końcu zamilkł. Ciotka w ogóle się nie odzywała. Czulałam, jak po plecach i szyi spływa mi krew.

Minęła może godzina, gdy nastąpił kolejny atak Ukraińców. Słyszałam, że idą. Nawet nie próbowałam oddychać, nie ruszałam się, nic nie widziałam. Usłyszałam po ukraińsku: „*Ci to wsi hotowi, a etu sabaku — chodziło o chłopca — zastreli!*”. Wówczas jeden powiedział do drugiego, że jest durny, szkoda naboju i znowu zaczęli tego chłopca kłuć pikami. Wtedy zemdlałam. Kiedy obudziłam się, już świtało. Usłyszałam polską mowę. Ten chłopczyk jeszcze żył, zmarł w południe. Ciotka była martwa. Partyzanci powiedzieli mi potem, że nie cierpiała, została trafiona pociskiem w serce, niemniej i tak była pokłuta.

[...] Partyzanci polscy organizowali transport, żeby się wycofać z Huty Stepańskiej [zob. też: „Karta” 8]. Podjęto decyzję o ewakuacji na wozach dzieci, rannych i osób starszych. Kiedy transport ruszył około południa, nastąpił kolejny atak Ukraińców. Leżałam na wozie razem z dwójką innych dzieci. Woźnica rzucił lejce i zaczął uciekać. Mój tato z karabinem doskoczył do konia i zawrócił wóz. Zanieśiono nas do szkoły. Wpadł do niej tłum uciekających. Ojciec nie był przy mnie, gdzieś walczył. Odparto atak i ponownie zorganizowano transport. Kiedy opuściliśmy Hutę, rozpętała się straszna burza, w życiu takiej nie widziałam. Wtedy udało się nam wycofać do lasu bez strzału.

Nocowaliśmy w lesie. Niesamowite wrażenie. Tabor rozciągał się jak okiem sięgnąć. Ochraniały go przez partyzantów polskich i chyba sowieckich. Matki musiały pilnować dzieci, żeby nie płakały i nie zdradziły naszego położenia, a gospodarze

stali przy koniach i pilnowali, żeby żaden nie zarżał. Gdy tak jechaliśmy, widziałam płonące polskie wsie [...]. Mama po drodze zbierała jabłka, bo bardzo chciało mi się pić. 20 lipca dotarliśmy do Sarn. [...] Zostałam umieszczona w szpitalu, gdzie leżałam trzy miesiące. [...] Leczył mnie Niemiec, bardzo się mną opiekował.

Huta Stepańska, gm. Stepań, pow. Kostopol

18 lipca 1943 (niedziela)

Wiesław Witold G. (ur. 1937):

Polacy jeździli z bronią na wypadki do swoich gospodarstw po żywność i inne rzeczy. Kiedyś udało mi się wśliznąć na wóz, którym na wypad jechał mój ojciec. Poza nim jechało wtedy osiem–dziesięć wozów sąsiadów.

W wiosce [w pobliżu Chrynowa] wszystkie zabudowania jeszcze stały, nie były spalone. Zajechaliśmy do gospodarstwa M., bo wiedzieliśmy, że nie uciekli. Obok domu, który nie był podpiwniczony, stał tzw. loch ziemny. W nim znaleźliśmy małżeństwo. Ojciec mnie nie puszczał, żeby to oglądać, ale widziałem, jak wyciągali zwłoki. Oboje byli porąbani siekierami. Na polu przy gospodarstwie został znaleziony nasz bliski sąsiad B. Z dwóch stron obłożono go deskami, w których [tkwiły] gwoździe, a deski obwiązano drutem kolczastym. Jego ciało zostało nabite na gwoździe, widziałem go w tym stanie. Wiem, że po polach i obejściach znaleziono kilka osób z rozciętymi brzuchami.

Już we Włodzimierz, byłem z rodzicami w kościele farnym o jedenastej. W czasie mszy wpadła do kościoła może dwunastoletnia dziewczyna. Miała obciętą przy ramieniu prawą rękę. Wbiegła przed ołtarz główny i krzyczała: „*Matuchno Najświętsza, dziękuję ci, że pozwoliłaś mi się uratować*”.

Później dowiedziałem się, że zamordowano jej całą rodzinę, ona jedna się uratowała i biegła 10 kilometrów przez las.

19 lipca 1943 (poniedziałek)

Jadwiga J. (ur. 1937):

Uciekałyśmy z mamą [...]. Za nami gonił jeden Ukraińiec i strzelał. Dostałam w tył uda. Kula przeszła na wylot, wyrwijąc mięśnie, ale nie uszkodzając kości. Moja mama wzięła mnie na ręce i dalej uciekałyśmy. Ukraińiec dogonił nas. Mama uklękła przed nim i błagała, żeby nas nie mordował, tylko zastrzelił.

Po namyśle kazał mamie usiąść, wziąć mnie na ręce i przytulić. Odszedł kilka kroków, wycelował, strzelił. Kula przeszła przez moje prawe ramię, znowu uszkodzając mięśnie, ale nie naruszając kości, a mama została trafiona w serce. Upadła na wznak i zmarła. Ja upadłam na mamę, zamknęłam oczy i przytuliłam się. Ukraińiec podszedł, uderzył kolbą w moją lewą dłoń (została mi po tym szrama między palcami) i odszedł. [...] Po odejściu Ukraińców odnalazła mnie rodzina przyczajona na polu żyta i przeniosła razem z mamą na miedzę. Opatrzyli mi rany, położyli na wóz i zostawili.

Następnego dnia przechodziła tamtędy grupa uzbrojonych Ukraińców, którzy zabrali z wozu wszystko, co zostawili moi krewni. Obok mamy i mnie przeszli obojętnie. Tylko jeden, idący z tyłu, zatrzymał się i powiedział do mnie po polsku, że jestem podobna do matki i że powinnam powiedzieć cioci, żeby mnie stąd zabrała, bo zginiemy. Po kilku dniach wrócił i powiedział, że wie, że jestem sama, że cioci nie ma. Chciał, żebym z nim porozmawiała. Ja się nie odzywałam, wstrzymywałam oddech — udawałam, że nie żyję. Byłam zbyt mała, nie zdawałam sobie

sprawy, że człowiek żyjący jest ciepły. Ten Ukrainiec zaniósł mnie na pole gryki. Przychodził jeszcze kilkakrotnie, chciał mnie sprowokować do mówienia, w końcu odszedł.

Po kilku dniach usłyszałam koszenie pobliskich zbóż. Znowu przyszedł ten Ukrainiec i powiedział, że zabiera mnie do swoich. Wziął mnie na ręce, zaniósł do koszących zboże, położył na ziemi. Nadal nie chciałam mówić. Ukraińcy postawili obok mnie jedzenie i poszli. Nie wiedziałam, że z tyłu została jedna Ukrainka. Kiedy sięgnęłam po jedzenie, krzyknęła, że żyję. Wówczas wszyscy się zbiegli i nie mogłam już udawać, opowiedziałam o sobie. Prawdopodobnie leżałam tak sama około dziesięciu dni.

Wyrka, gm. Stepań, pow. Kostopol

2 sierpnia 1943 (poniedziałek)

Anna O.:

Zabraliśmy dzieci i pojechaliśmy do kościoła w Tuczynie [...]. Wróciliśmy dopiero pod wieczór, trochę zmęczeni. Zjedliśmy kolację, jeszcze poszłam z dziećmi na różaniec do sąsiada. Przyszła prawie cała wieś.

Wróciliśmy do domu i tak rozmawiamy z mężem, że może nie pójdziemy dzisiaj na noc do lasu, takie męczące to spanie na dworze. Noce chłodne, a dzieci małe, płaczą, że zimno i chciałyby spać w łóżeczkach. Może tę jedną noc prześpiemy w stodole, odpoczniemy trochę...

I tak zrobiliśmy. Dzieci bardzo się ucieszyły. W stodole było trochę siana, rozebrałam dzieci, włożyłam im nocne koszulki, żeby wypoczęły, bo w lesie czy na łące spały w ubrankach. [...] Stodoła była drewniana, więc z tyłu odbiliśmy deskę, żeby w razie czego prędzej wyjść. Za stodołą było żyto, może da się łatwiej uciec.

Weszliśmy do dzieci i siedzimy na sianie. Mąż zaczął się niepokoić, miał jakieś złe przeczucia. Powiedział, że nie będzie spać do drugiej, potem ja będę czuwać. Przytaknęłam, ale oka nie zmrużyłam; i mnie ogarnął jakiś strach. Wydawało mi się, że ktoś chodzi koło naszego mieszkania. Pies zaczął mocno szczekać, potem wyć. Około północy zaczęły wyć wszystkie psy, aż echo, hen, odbijało.

A nasze dzieci śpią. Próbuję je obudzić, może wyjdziemy w pole, ale w żaden sposób nie mogę. „Boże, nie opuszczaj nas!” — modlę się do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy — „Ratuj nas, Pani!”. Dochodzi pierwsza. Jaka długa noc! Żeby prędzej do rana doczekać. Nagle zaczęły pękać granaty i wybuchł pożar. O, Boże! Jęk i krzyk, strzały z karabinów, wioska obstawiona przez bandę Ukraińców z bronią — nikt nie ucieknie.

„Matko Najświętsza, nie opuszczaj nas!” — westchnęłam. Mąż krzyczy: „Budź dzieci i uciekaj szybko, a ja te rzeczy w workach wyrzucę ze stodoły” i kręci się po klepisku, nie może niczego znaleźć. Ja nie mogę obudzić dzieci, szarpie je, mówię do męża, że będziemy je wynosić śpiące. Mąż wyniósł najmłodsze, a ja jakoś dobudziłam te starsze. Wybiegliśmy kawałek od domu, w zboże. Wzięłam tylko jeden koc, bo ze strachu nic więcej nie znalazłam. Dzieci drżały w nocnych koszulkach, noc była chłodna. Owinęłam wszystkie kocem i kazałam usiąść na ziemi, choć była dość wilgotna, a sama patrzę, czy nasz dom jeszcze stoi.

Kury fruują, zwierzęta ryczą, rzą, wyją, a ludzie... krzyczą nieludzkim głosem. [...] Płomienie buchają pod niebiosa. Drewniane domy, słomiane dachy palą się jak zapałki. Ach, żeby naszego domu nie spalili!

Dzieci zaczynają płakać, że długo nie ma tatusia. Ja też się niepokoję. Nareszcie przychodzi mąż, przynosi ubranka, dzieci szybko się ubierają i biegniemy do

lasu, około pół kilometra. W lesie zebrało się już sporo niedobitków, opowiadają. [...]

Tej nocy zamordowano ponad sto osób ze wsi Leonówka.

Rozwidniło się, mężczyźni poszli na zwiady. Szybko wrócili i wołają: „*Nasze domy [w kolonii Leonówka] stoją, doszczętnie spalona jest tylko wioska*”. Wracamy z lasu. Akurat wschodziło słońce, smutne, czerwone, jakby skąpane we krwi. Nie ma wiatru, cicho, pogodnie, tylko cuchnący dym unosi się ze zgliszcz. Co robić? Dokąd uciekać?

Szybko przygotowuję śniadanie, a tu wpada syn sąsiada i woła: „*Jadą na koniach Ukraińcy*”. — „*Wola Boska — mówię — nie damy rady uciec*”, ale nas ominęli. Zajechali do sąsiada i mówią, że nie będą nas zabijać, bo byliśmy dobrymi gospodarzami, ale żeby nas tu do dwunastej nie było, ani jednego, bo inni przyjdą nas mordować.

Zostawiamy cały dorobek — nowy dom, stodołę, oborę, studnię betonową, sad, krowy, świnię, stado gęsi [...]. Mamy jeden wóz, a trzy rodziny się pakują — co można wziąć? Małe dzieci też trzeba posadzić na wóz. Zapakowałam do worka lepsze odzienie, trochę żywności. Wzięłam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a dzieciom dałam po małym obrazku. Zdjęłam ze ściany krzyż misyjny, wzięłam różaniec i mówię, że już zabrałam wszystko, co najważniejsze.

Obraz Matki Boskiej, którym moi rodzice błogosławili nas do ślubu, był za duży, by zabrać go ze sobą, więc zdjęłam ze ściany, postawiłam na stole przykrytym białym obrusem, ubrałam w kwiaty. Ukłękliśmy wszyscy, odmówiliśmy *Pod Twoją obronę* i poprosiliśmy Matuchnę o błogosławieństwo, nie do ślubu, jak ongiś, a na życie tułaczę. Ze łzami w oczach wyszliśmy z mieszkania, które zamknęłam na kłódkę. Krzyżem przeżegnałam drogę i wyruszyliśmy.

Tylko Reks został. Nie mogliśmy zabrać go ze sobą, bo nie miał kagańca, a był bardzo groźny. Gdy wyjeżdżaliśmy z podwórza, zaczął strasznie wyć, a dzieci płakać, nam też łzy spływały po policzkach. Odjechaliśmy 6 kilometrów i jeszcze słychać było jego wycie.

Szybkim tempem jechaliśmy przez spaloną Leonówkę. Ileż tam leżało trupów, a we wsi żywej duszy. Kto został przy życiu, uciekł, o pogrzebach nie było mowy. Tu i ówdzie jeszcze dymił zagrody. Pasięka na sto pni spalona, roje pszczoł siedziały na miodzie z rozbitych uli. Obok drogi w łanie żyta leżał osiemnastoletni syn Mikołaja M. Miał okropnie popalone ciało i ubranie. Wołał o ratunek, ale było to niemożliwe, konał. [...]

Dojechaliśmy do Tuczyzna, gdzie był niemiecki posterunek. Tu zjechali Polacy z całej gminy. [...] Niemcy wyznaczili miejsce na łące nad rzeką Horyń i powiedzieli, że tu mamy przenocować, a jutro jechać dalej.

Dopóki świeciło słońce, było spokojnie. Po zmierzchu przyjechali Niemcy i powiedzieli, żeby wyjeżdżać szybko na drugą stronę rzeki, bo moc Ukraińców idzie, wybiją nas albo potopią, a oni nie mają takiej siły, żeby z nimi walczyć.

Nie da się opisać, jaki powstał popłoch. A gdy jeszcze usłyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych, jak to wszystko ruszyło [...], nawet w ludziach były straty.

Leonówka, gm. Tuczyzn, pow. Równe

29 sierpnia 1943 (niedziela)

Bożena P. (ur. 1927):

W nocy 29 sierpnia spaliśmy w polu z mamą i braćmi, tylko ojciec został w domu. O wschodzie słońca wróciliśmy do gospodarstwa. Starszy brat Mieczysław wszedł

do kryjówki w stercie słomy na podwórku, a młodszy Alfons ukrył się w sianie na strychu obory. Ja z mamą byliśmy jeszcze na dworze, kiedy mama zauważyła, że z kolonii wybiegło kilku mężczyzn z siekierami, kosami i toporami na plecach i pobiegli do sąsiada P. Ponieważ tam już nikogo nie było, pobiegli do drugiego sąsiada K., gdzie także nikogo nie zastali, bo ta rodzina spała w zbożu. Zobaczyliśmy, że pędzą w naszą stronę.

Mama wbiegła do domu zbudzić ojca, natomiast ja wskoczyłam do kryjówki brata w stercie słomy na podwórzu. Zdążyłam tylko powiedzieć, że lecą do nas bandyci, gdy mama z ojcem wyszli na próg i zawołali, byśmy uciekali z gospodarstwa. Ojciec został na podwórku, zaś mama z Mieczysławem pobiegli za stodołę, ukryć się w kopcach pszenicy. [...]

Bandyci byli już blisko, wskoczyłam z powrotem w stertę słomy. [...] Usłyszałam dwukrotne głucho uderzenie i jęk ojca. Zaczęli szukać pozostałych członków rodziny. Zagląдали wszędzie i znaleźli mamę z Mieczysławem. Jeden z Ukraińców powiedział: „*No, tych dwoje już leży*”. Na strychu znaleźli Alfonsa, sprowadzili go na podwórze. [...] Usłyszałam dwa uderzenia, jak przy ojcu, i jęk. Kiedy zabili brata, zaczęli między sobą mówić, że gdzieś powinna być jeszcze dziewczyna. Szukali mnie [...], w końcu poszli.

Po dwóch–trzech godzinach znowu przyszli jacyś Ukraińcy i zaczęli kopać doły na podwórku i za stodołą. Nagle usłyszałam głos Alfonsa: „*Boże! Boże!*”. Podeszli do niego i powiedzieli: „*Aluś, ty śpisz, śpisz*”. Brat jeszcze dwa razy powtórzył: „*Boże, mój Boże!*”, wtedy jeden odezwał się: „*Weź topór i go dobij*”. Znowu usłyszałam dwa ciosy. Brat przestał jęczeć. Wrzucili ciała do dołów [...] i gdzieś sobie poszli.

Po południu przyjechały furmanki na podwórze i zaczęło się zabieranie inwentarza, sprzętów, odzieży. Zabrali, co się dało, i odjechali.

W nocy myślałam, aby wyjść i przedostać się jakoś do Włodzimierza, ale usnęłam. Obudziłam się rano, kiedy usłyszałam, że ktoś chodzi po podwórku. [Ukraińcy] Zbierali jajka i wypuścili na podwórze dwa prosiaki. Prosięta wyczuły, że jestem w stercie, przecisnęły się przez słomę i położyły obok moich nóg. Podkopał się też do mnie pies. Wyciągnęli psa i patrzyli, czy kogoś tam nie ma. Z drugiej strony były te dwa prosiaki, ktoś je kopnął i zaczęły pchać się do mnie. Odepchnęłam je mocno i poszły sobie, a Ukraińiec za nimi. Jakoś mnie nie znaleźli. Siedziałam do następnego dnia w stercie. Czułam głód, a przede wszystkim chciało mi się pić.

We wtorek przed nocą postanowiłam znaleźć coś do picia. Na podwórzu już całe popołudnie było spokojnie. Na płocie suszył się garnek, nabrałam nim wody z koryta, choć była już zazieleniona. Wróciłam do sterty i przez słomkę piłam wodę z dna. Przesiedziałam tak kolejną noc. Chciałam uciekać, ale zaraz trzęśłam się i zasypiałam.

W środę rano pomyślałam, że jeśli nie wyjdę, to umrę z głodu albo mnie spalą w tej stercie, bo niektóre gospodarstwa palili. Wysłałam więc i wzięłam grabie, udając robotnicę idącą w pole. Kiedy doszłam do zakrętu drogi prowadzącej do kolonii (mieszkaliśmy jakieś 300 metrów z boku), zobaczyłam jadących na wozie Ukraińców z karabinami. Nie patrząc na nich, poszłam drogą na Włodzimierz, a oni skręcili [...]. Nie zatrzymali mnie, nie wiem dlaczego. [...]

Kiedy przeszłam ze 3–4 kilometry, zobaczyłam, że w gospodarstwie polskiego osadnika wojskowego S. Ukraińcy coś ładowali na wóz. [...] Jeden zatrzymał mnie i zapytał, dokąd idę. Z przerażenia nie mogłam nic powiedzieć, wyjąkałam, że grabić owies. Zapytał, czyja jestem. Skłamałam, podając się za córkę G., którzy byli rodziną ukraińską, mieszkali na kolonii i mieli trzy córki mniej więcej w moim

wieku. Mężczyzna powiedział, że kłamię, bo on zna córki G. [...] Dodał, że mam szczęście, bo on jeszcze nikogo nie zabił i nie chce zabić, a jest przekonany, że jestem Polką. Kazał mi rzucić grabie i dla bezpieczeństwa iść przez pola i lasem, a nie drogą.

Grabi nie rzuciłam, ale poszłam w kierunku lasu. [...] Z daleka zobaczyłam przedwojenną strzelnicę wojskową, kręciło się tam kilka osób. Nie wiedząc, kim są, zaczęłam grabić skoszoną grykę i owies, i ustawiać w kopki. Te osoby ruszyły w moim kierunku. Kiedy pierwszy się zbliżył, zobaczyłam w nim wiejskiego skrzypka, wywiezionego przez Ukraińców do lasu, lecz za chwilę wydało mi się, że to jakiś Niemiec, a po chwili, że Ukrainiec, dopiero kiedy on odezwał się po polsku: „Bożenka”, okazało się, że to znajomy. Byli to Polacy, którzy przyjechali z Włodzimierza po paszę dla trzody. Zabrałam się z nimi.

Ludmiłpol, gm. Werba, pow. Włodzimierz

Kazimiera J. (ur. 1931):

Że ludność ukraińska morduje Polaków, słyszałyśmy w trakcie rozmów dorosłych. Dorośli obawiali się aktów przemocy, niemniej wszyscy prowadzili gospodarstwa i musieli pracować. Ponadto liczyli, że w ich miejscowości nic złego nie ma powodu się wydarzyć. [...]

W niedzielę w nocy usłyszeliśmy zbliżające się strzały i hałasy od strony lasu. Matka zbudziła nas i kazała się ubierać. Poszliśmy do mieszkającego niedaleko wujka Jana. Również nie spali. Wujek stwierdził, że być może idą po mężczyzn i schował się do stodoły. My staliśmy na podwórku. Okrążyło nas dziesięciu mężczyzn, wśród nich był mieszkaniec Głębozczy [...]. Byli uzbrojeni w młotki, kosy, siekiery, jeden miał starą broń. Uspokajali nas, że nic nam nie zrobią. Pamiętam, że mieli pokrwawione nogawki spodni. W pewnym momencie usłyszałam głośnie „Hurra!” i zauważyłam, że biją nas tym, co każdy miał w rękę. Stojący obok mnie Ukrainiec zamachnął się na mnie siekierą, upadłam i straciłam przytomność.

Nie wiem, ile leżałam, ale dość długo. Słyszałam jakiś płacz, jęki, myślałam, że śnię. Kilkakrotnie odzyskiwałam i traciłam świadomość. Przypominam sobie, że widziałam matkę z rozrąbaną czaszką. Ojciec leżał zabity, trzymając najmłodszą siostrę, też martwą. [...]



Polska rodzina zabita przez Ukraińców.
Fot. IPN Oddział w Lublinie

Mógł to być trzeci dzień. Czułam się bardzo głodna, słaba. Doszłam jakoś do sadu babki, nazbierałam jabłek i zjadłam. Ukraińcy w dalszym ciągu grasowali. Postanowiłam schować się w kopie zboża na polu babki. Nie wiem, ile tam siedziałam, ale trzy razy widziałam Ukrainki idące do cerkwi w odświętnych strojach. W końcu znaleźli mnie w tej kopie Ukraińcy. Byłam wycieńczona, myśleli, że nie żyję. Wykopali dół i kłócili się, który ma mnie zepchnąć. Mogło być ich

z szczęściu. Jeden wziął łopatę i zepchnął mnie, przy tym jeszcze uderzył mnie łopata w bok głowy. Czułam, jak zasypują mnie ziemią. W końcu odeszli.

Udało mi się zgarnąć ziemię z twarzy i podniosłam się. Obserwował mnie jakiś Ukraińiec, pomógł mi wyjść. Bardzo się bałam. Zaprowadził mnie do rzeki, gdzie obmyłam się, gdyż miałam całą twarz zalaną krwią. Pytał, co się stało z moją rodziną. [...] Nazywał się H., wydaje mi się, że był wśród tych, którzy napadli na nas na podwórku wujka. [...] Zaprowadził mnie do swojego domu, jego siostra opatrzyła mi ranę i jakoś doszłam do siebie.

Głęboczyca, gm. Olesk, pow. Włodzimierz

30 sierpnia 1943 (poniedziałek)

Jadwiga P.:

Popędzili nas w stronę kościoła. Kiedy doszliśmy, wypędzili z kościoła przeważnie kobiety z dziećmi i popędzili wszystkich w stronę cmentarza, przez krzaki. [...] Koło cmentarza pobili starego organistę z żoną, bo nie dawali rady szybko iść. Było gorąco, zalewał nas pot. [...]

Przepędzili nas kilka kilometrów krzakami i się zaczęło.

Ewa Sz. ze wsi Maria Wola wymawiała im: „*Za co nas zabijacie, po Żydach nabraliście złota, a po nas co weźmiecie?*”. Zaczęliśmy odmawiać *Anioł Pański* i *Wieczny odpoczynek racz nam dać, Panie*. Kazali kłaść się rodzinami, potem dziesiątkami — i do każdego z oddzielna strzelali. [...] Położyłam się jak do snu. Miałam dużą chustkę i nakryłam nią głowę, żeby nic nie widzieć. Strzały zbliżały się, czekałam śmierci, a tu słyszę, że strzały oddalają się, a ja nietknięta.

Siostra z jednym bratem, ja z drugim, miałam głowę opartą o jej nogi, musiała słyszeć, że dycham i pyta, czy jestem ciężko ranna. Jeszcze się nie odzywam, boję się, może stoją w krzakach. Drugi raz pyta, podniosła głowę i mówi, że nikogo nie ma. Zobaczyłam, że jest ranna. Wstałyśmy, popatrzyłyśmy na braci (9 i 13 lat), w głowach otwory po kulach. Do dziś mam na sumieniu, że kazałam im wyrzucić czapki, może gdyby byli w czapkach, to by ich nie trafili.

Gdzie iść? Poszłyśmy krzakami w kierunku Lubomla. Spotkałyśmy starszego Ukraińca z dziewczynką. Siostra zaczęła prosić, żeby nas wziął do domu, nie chciał. Wyszłyśmy na drogę na Zapole, siostrze zrobiło się niedobrze. Powiedziałam: „*Poczekaj na drodze, a ja pójdę, po ukraińsku wody poproszę*”. Na szczęście najbliższe mieszkanie było zamknięte, z koryta popiłyśmy wody i poszłyśmy dalej. [...]

Zaczął się życie tułaczce.

Wola Ostrowiecka, gm. Huszcza, pow. Luboml

Wybór i opracowanie
Barbara Odnous

W tekście zostały wykorzystane materiały Instytutu Pamięci Narodowej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, akta śledztwa S.1/00/2.

Redakcja składa podziękowania prowadzącemu śledztwo prokuratorowi Piotrowi Zajęcowi za pomoc w udostępnieniu i przygotowaniu materiałów.

Kwartalnik „Karta”

Kwartalnik zajmujący się XX i XXI-wieczną historią Polski i Europy Środkowo-Wschodniej – pismo otwarte na każde, nawet najtrudniejsze świadectwo. Konsekwentnie porusza tematy często zapomniane, pomijane czy trudne. Historię opowiada z różnych perspektyw narodowościowych, społecznych i politycznych – oddaje głos świadkom historii, uczestnikom oraz obserwatorom opisywanych wydarzeń. Współczesne komentarze historyków mają tu tylko charakter pomocniczy.



Ośrodek **Karta**

organizacja pożytku publicznego
www.karta.org.pl

Misja Fundacji Ośrodka KARTA:

Umożliwiamy spoglądanie w przeszłość poprzez doświadczenia pojedynczych osób. Odkrywamy, zapisujemy i upowszechniamy świadectwa historii Polski i jej bliskiego sąsiedztwa w XX i XXI w. oraz polskiej emigracji: dzienniki, wspomnienia, dokumenty, zdjęcia, listy. Działamy w przekonaniu, że świadomość historyczna ma kluczowe znaczenie dla tożsamości ludzi i społeczeństw. Proponujemy sposób pracy z historią, który pozbawia ją siły niszczącej. Jesteśmy niezależni i apolityczni. Powstaliśmy w „podziemiu” w styczniu 1982. Działamy oficjalnie od 1990 roku.

Misję realizujemy przez:

→ Prowadzenie działalności archiwalnej

Prowadzimy największe w Polsce archiwum społeczne. Archiwalia, które pozyskujemy (głównie od osób prywatnych), to fotografie, dokumenty, korespondencja, dzienniki oraz nagrania audio i wideo, a także pamiątki i muzealia. Docieramy do świadków historii w Polsce i na całym świecie, nagrywamy ich relacje, zabezpieczamy i chronimy dokumenty, które mogłyby ulec zniszczeniu.

→ Upowszechnianie historii – działalność wydawnicza i edukacyjną

Publikujemy teksty źródłowe i montażę źródeł w kwartalniku historycznym „Karta” oraz w książkach i albumach. Prowadzimy czytelną naukową. Bezpłatnie udostępniamy źródła w internecie – stworzyliśmy jedną z największych w Polsce bibliotek cyfrowych, z której rocznie korzysta 60 000 czytelników.

→ Działalność na rzecz archiwistyki społecznej

Jesteśmy rzecznikiem środowiska polskich archiwów społecznych. Integrujemy, promujemy i wzmacniamy już ponad 450 organizacji w Polsce, które zajmują się niezależną, oddolną archiwistyką. Dostarczamy archiwistom bezpłatne narzędzia i wiedzę (np. bazy do archiwizacji zbiorów).

Potrzebujemy Twojego wsparcia,
aby odkrywać, zapisywać i udostępniać relacje świadków historii!

JAK MOŻESZ POMÓC?

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ



25 zł

Paszport rodziny Herbutów z XIX w.

to koszt zabezpieczenia, skatalogowania, digitalizacji i bezpłatnego udostępnienia w Bibliotece Cyfrowej dlibra.karta.org.pl pięciu dokumentów historycznych



50 zł

to koszt zabezpieczenia, skatalogowania, opracowania, digitalizacji bezpłatnego udostępnienia w bazie foto.karta.org.pl pięciu zdjęć historycznych



100 zł

Londyn, archiwistki KARTY pracują z Karoliną Kaczorowską – żoną Ryszarda Kaczorowskiego, ostatniego Prezydenta RP na Uchodźstwie

to koszt godzinnej relacji świadka historii – nagrania, nie wliczając dotarcia do bohatera, transkrypcji fragmentów i opublikowania

**Możesz wpłacić także dowolną kwotę.
Twoja pomoc jest ważna!
Jesteśmy wdzięczni za każdy gest!**

Bank BGŻ BNP PARIBAS S.A
PL 90 2030 0045 1110 0000 0415 5420 (PLN)
PL 39 2030 0045 3110 0000 0034 6670 (EUR)
PL 18 2030 0045 3110 0000 0034 6660 (USD)
SWIFT CODE: PPABPLPKXXX

tytuł wpłaty: darowizna dla Ośrodka KARTA

Przekazaną darowiznę możesz odliczyć od podatku (osoba fizyczna do 6% od dochodu, osoba prawna do 10% od dochodu).

POMÓŻ NAM RATOWAĆ GINĄCE HISTORIE!

Tysiące świadectw historycznych nigdy nie zostało zapisanych, a bohaterowie, także najważniejszych zdarzeń – powoli odchodzą w niepamięć.



Rudno koło Warszawy, 2002.
Zespół KARTY podczas akcji
ratowania zbiorów Towarzystwa
Przyjaciół Pamiętnikarstwa

FOT. MICHAŁ ZARZYCKI / OK

Jak jeszcze możesz pomóc?

→ **Kupuj książki KARTY** w internecie: księgarnia.karta.org.pl lub w naszej księgarni przy ul. Narbutta 29 w Warszawie.

→ **„Zaokrąglij” prenumeratę kwartalnika „Karta”**
Zamów prenumeratę za 44 zł i „zaokrąglij” wpłatę do 50, 100 zł lub dowolnej wyższej kwoty – to Twoja darowizna na realizację misji Fundacji Ośrodka KARTA.

→ **Sporządź zapis testamentowy** – Możesz przekazać zgromadzone przez całe Twoje życie dobra swojej rodzinie i bliskim, a częśćkę ofiarować na rzecz budowania tożsamości przyszłych pokoleń. Więcej informacji o kampanii Dobry Testament na karta.org.pl lub pod nr. telefonu: (+48 22) 848-07-12; 848-07-28; 848-07-61

→ **Przełącz 1% podatku** – Fundacja Ośrodka KARTA jest organizacją pożytku publicznego, której możesz przekazać 1% podatku, aby ratować ginące historie KRS: 0000119146.

→ **Planując ślub lub inną uroczystość zaślubin** – **pomyśl o przyszłych pokoleniach** Poproś gości, aby pieniądze na kwiaty wpłacili lub wręczyli je Tobie, a Ty dokonasz wpłaty w ich imieniu. Dzięki temu Dzień Twojego Święta będzie jeszcze bardziej wyjątkowy!

Środki z darowizn zostaną całkowicie przeznaczone na realizację misji Fundacji Ośrodka KARTA.